ŁOWIEC POLSKI



Przenoszenie zdobyczy. Fot. W. Wysocki.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr. 32 (916) 10 LISTOPADA 1938 R.

CENA ZŁ. 1.–



Za chwilę ruszą... Fot. J. ks. Jabłonowski.

O REAKLIMATYZACJI ŁOSI W PUSZCZY BIAŁOWIESKIEJ

Przesiedlanie łosi do innego siedliska jest jednym z najtrudniejszych zadań z dziedziny gospodarki łowieckiej, a to ze względu na ich wielką wrażliwość w czasie transportu, podczas którego znaczny procent ginie. Również są one bardziej wrażliwe, niż inne gatunki zwierzyny płowej, na zmianę pokarmu — mleka od krowy lub kozy. Pozatem w wieku kilku tygodni cierpią młode łosie na różne choroby, z których najpoważniejsze wywołują tasiemce i obleńce spotykane u psów, bardzo łatwo przechodzące na łosie. Po wojnie światowej do przesiedlania łosi na większą skalę przystąpili Niemcy. Przez osoby, które się bezpośrednio tem zajmowały, byłem dokładnie poinformowany o licznych trudnościach i stratach przy wychowywaniu łosiąt i ich przewozie. Tylko nieznaczny odsetek dał się odchować nawet przy takich środkach transportowych, jak samoloty, któremi je przewożono. Nie zniechęciło to jednak Niemców do ciągłego przeprowadzania prób przesiedleniowych i po kilku latach doszli oni do takiego doświadczenia, że widziałem w Schorfheide łosie przywiezione z Mierzei Kurońskiej o wspaniałych rosochach i doskonałym wyglądzie.

Z inicjatywy Administracji lasów państwowych, jak w wielu podobnych wypadkach, postanowiono odrodzić łosie w Puszczy Białowieskiej. Zawdzięczając dobrym koleżeńsko - łowieckim stosunkom z hodowcami niemieckimi, otrzymałem od nich ścisłe przepisy, dotyczące hodowli łosi. Przepisy te w 1936 r. przesłałem do Białowieży p. Insp. M. Doubrawskiemu do wykorzystania, gdyż w najbliższej przyszłości projektowało się wówczas przesiedlić łosie do Białowieży, t .j. do ostoi, gdzie jeszcze kilkanaście lat przed wojną była ich znaczna ilość, a które wyemigrowały z powodu nadmiernego stanu innej zwierzyny płowej.

Pan Insp. M. Doubrawski skrupulatnie, z właściwem sobie zamiłowaniem przestudjował elaborat, lecz nie zadowolił się temi wskazówkami, a zastosował natomiast własne metody, niestosowane w Niemczech. Dzięki tym metodom doszedł do nadzwyczajnych wyników.

Do odrodzenia łosi w Puszczy Białowieskiej przyczynił się przedewszystkiem Karol ks. Radziwiłł, który w r. 1937 ze swojej wspaniałej ostoi łosi w Ordynacji Dawidgródeckiej ofiarował 3 sztuki, z których 2 padły. Jedna z tych sztuk była złowiona zawcześnie, gdyż miała dopiero kilka dni, druga sztuka została uszkodzona przy chwytaniu, co wykazała sekcja (wewn. wylew krwi), trzecią zaś — klempę wychodował p. Doubrawski i jest ona obecnie pięknym, imponującym pod względem wzrostu i kondycji okazem i liczy już 1½ roku. W roku bieżącym K. ks. Ra-

dziwiłł znów ofiarował Białowieży 11 sztuk, z których, niestety, już w Dawidgródku padło 6, a zatem do Białowieży przywieziono tylko 5 sztuk.

Po złowieniu tych łosi p. Insp. Doubrawski został powiadomiony telefonicznie i przybył do Ordynacji, udzielając szeregu wskazówek opiekującemu się łosiami personelowi.



Zbieranie żołędzi.

W tym samym czasie w N-ctwie Iwacewicze schwytano i przewieziono pod nadzorem Insp. Doubrawskiego 3 sztuki, które wspaniale odbyły podróż do Białowieży.

Co do wypowiedzenia się odnośnie transportowania i hodowli, pozostawiam to autorowi tych metod, p. Doubrawskiemu. Łosie te miałem satysfakcję oglądać w dniu 9.X. r. b. Wszystkie 9 sztuk odznaczają się wspaniałą kondycją, są bardzo wyrośnięte i wesołe. Był to niezapomniany dla mnie, piękny widok, kiedy na bliską odległość mogłem wszystkie 9 sztuk jednocześnie oglądać. Na wiosnę 1939 r. będą one wypuszczone z obecnego zwierzyńca, mającego powyżej 6 ha, na wolność. W obrębie tego zwierzyńca znajduje się bagienko, w którem łosie chętnie przebywają. Drzewostan jest mieszany, z przewagą świerka i obfitych zarośli krzewów oraz ziół, służących łosiom za pokarm. Na przyszłą wiosnę, po wypuszczeniu obecnej obsady, nowe pokolenie zajmie zwierzyniec.

Przy hodowli łosi — poza ciekawemi z naukowego i łowieckiego punktu widzenia momentami — miał miejsce również wypadek zabawny, dający jednocześnie pojęcie o zdolności obronnej młodych łosi.

Jeden z niedźwiadków, sprowadzonych z Rosji Sowieckiej do Białowieży i wypuszczonych na wolność, odwiedził łosięta, dostając się do wewnątrz ogrodzonego zwierzyńca. Łosie zupełnie się nie przestraszyły intruza, lecz naodwrót zaatakowały go, bijąc dotkliwie przedniemi badylami. Biedny miś, uciekając przed niemi, kilka razy wvrżnął głową w siatkę ogrodzenia, zanim się zorjentował, że trzeba uciekać przez płot, co też uczynił po dotkliwem poturbowaniu.

Śmiało już można powiedzieć, że, zawdzięczając księciu Karolowi Radziwiłłowi, p. Dyr. Nejmanowi i głównemu opiekunowi łosi, p. Insp. M. Doubrawskiemu, Puszcza Białowieska będzie się mogła szczycić obecnością łosi.

H. KNOTHE



Cztery z dziewięciu.

Szan. Prenumeratorów prosimy o łaskawe szybkie odnowienie prenumeraty na IV kwartał, lub na miesiąc listopad.

Jednocześnie zmuszeni jesteśmy uprzedzić, że tym, którzy nie odnowią prenumeraty, wysyłka pisma zostanie wstrzymana.

Administracja.

O TOWARZYSZU – MYŚLIWYM

Poznajemy całkowicie wartość człowieka - towarzysza, gdy — osamotnieni przez długie godziny — czuwamy gdzieś na stanowisku, zagubieni w głuszy, wśród nocy i przestrzeni. Nawet snująca zwiewne wykresy dymowe fajka, nawet wierny pies, wpatrzony w ognisko mądremi oczyma — tu nie poradzą. Nic nie zastąpi bratniej ludzkiej duszy, serdecznego słowa, wogóle — obecności człowieka.

Czasami unikamy ludzi, uciekamy tam, gdzie ich spotkać trudno: pragniemy wypoczynku od tego ludzkiego gwaru, od gotującego się życia — szczególnie miast. Czujemy się wniebowzięci, gdy uda się nam utonąć w lasach samotnie, w poszukiwaniu hazardu i w pogoni za łowiecką przygodą... Prawda to! Bo nieraz tak nam ciasno się zrobi wśród ludzi, tak ciężko, że znieść trudno.

Ale kiedy jesienny, mdlejący w łunie blasków las zakołysze się na wietrze, kiedy zacznie sypać na ziemię blaszki kolorowych liści — tęsknota dziwna zdławi myśliwską, szukającą samotnie hazardu pierś. Jakoś markotnie się zrobi zabłąkanemu w puszczy, samotnemu myśliwcowi. Zapragnie usta do kogoś otworzyć, rozmówić się, podzielić mnóstwem doznanych wrażeń z innym człowiekiem o podobnych myślach — z myśliwym. Samotne bowiem roztrząsanie własnych doznań i wspomnień często bywa dziwnie trudne i tchnące niewytłomaczonym smutkiem. Może dlatego, że tak jesień człowieka nastraja, a może też — częstokroć! — że lata odepchnęły precz młodość i chylą powoli dzień życia do zachodu... Kto wie?

W chwilach takich pragnienie ludzkiego towarzystwa bywa bardzo silne. Zdolne jest nawet zniweczyć nienawiść i żądzę zemsty — powstałe z innych powodów. Zdarza się, że w takiem przypadkowem spotkaniu zapomina się sobie nawzajem wszystkie urazy, wszystkie krzywdy. Zdarza się, że wśród nieznajomych lub wręcz wrogich ludzi powstaje przyjaźń na całe życie.

Opowiadał mi tydzień temu dziad mego wspaniałego towarzysza wypraw łowieckich, Józia Ś., (o którego zaletach wspomniałem kiedyś na łamach „Ł. P." przy okazji opisu toków cietrzewich) — takie zdarzenie z własnego życia. Opowiem je bez „kolorów", tylko „własnemi słowami".

Na świecie była jesień. Wieczór szedł szybkim krokiem. Krwisty zachód, wróżący na jutro wiatr, malował czuby drzew na gorące, ogniste tony. Dziad Antoni czuwał ze strzelbą, oparty plecami o pień siwej osiki. Wyglądał na wszystkie strony, nasłuchiwał czy nie doleci skąd oczekiwany odgłos, zdradzający obecność zwierzyny...

Powiędły już olszowe i osikowe liście: nocny mrozik je zwarzył, nadał im lubą woń i smakowity wygląd. Tylko patrzeć, jak wielki, rozskrzydlony cień tęgiego głuszca zapadnie w kopulaste szczyty, poczeka chwilę, posłucha, a potem zacznie łapczywie pochłaniać miękkie, ciemne liście...

Czekając — dziad Antoni wspominał dawne czasy. Przywoływał epizody myśliwskich wypraw, których jakże wiele miał już za sobą!... Była to piękna, pełna różnorakich wspomnień przeszłość etycznego myśliwego; nie wstydził się jej wcale, przeciwnie — była ona jego dumą i pociechą niemłodych już lat. Kilka tam było w niej młodzieńczych „przeskrobanek", ale św. Hubert (tak dobrze świadom dzisiejszych, bołączek" myśliwych!) zapewne już dawno o nich zapomniał, tembardziej, że późniejsze prowadzenie się łowieckie winowajcy było bez skazy...

— Tak dobrze byłoby podzielić się dzisiaj tem wszystkiem z innym człowiekiem...—pomyślał dziad Antoni.

Lasy dokoła były olbrzymie: na piękny ich kompleks składały się i jego własne starodrzewne tereny, i niezbyt odległe mieszańce hrabiego Dulasego, przedzielone tylko smugiem — i to już niewyraźnym, zarastającym... Do domu daleko; dokoła pustka i głusza, a do najbliższej drogi — ze dwa kilometry.

Złoty płomień zgasł na liściach brzozy. Kret wysypał tuż, u stóp myśliwego, pagórek pulchnej, wonnej, świeżej ziemi.



Beskid—Smerek. Dobry dwunastak. Fot. R. Rogowski.

Pociemniało.

Krótki klask skrzydeł w olszynach zmącił ciszę oczekiwania. Dziad Antoni pozostał dalej nieporuszony; tylko oczyma rzucał w górę na wszystkie możliwe z jednej pozycji strony ze zdwojoną badawczością. Wyciągnął głowę i słuchał, słuchał uparcie...

Po chwilowym spokoju — drgnęły gałęzie na niedalekiej olszynie; jął dolatywać cichy odgłos skubanych apetycznie liści. Dziad Antoni delikatnie, jak mógł najciszej, wykradł się z pod baldachimu drzew na skraju polanki, ażeby wyraźniej widzieć żerującego ptaka.

W pewnym momencie złożył się szybko i palnął. Ruch w szczycie olchy, szmer roztrącanych liści i głuchy stuk padającej zwierzyny — były odpowiedzią na celny strzał.

Myśliwy podniósł tęgiego głuszca, przerzucił strzelbę przez ramię i poszedł wolno wgłąb lasu.

Grunt coraz to się podnosił.

Z olszynowych zagajników wypełzła na spotkanie łąka, zlekka zrudziała, rozłożona na równi pochyłej, u której szczytowej krawędzi kędzierzawił się włos młodego sosnowego lasu.

Dalej znów ciemnemi czeluściami pociągnęły gęste mieszane lasy. Na małej polance, przy stosie nie-

wiadomo przez kogo zebranego suszu, dziad Antoni zatrzymał się, powiesił na sęku strzelbę i ładną zdobycz i zabrał się do rozniecenia ogniska.



Na starą modę. Fot. J. Hołyński.

Po chwili żywy ogieniek zaigrał w gałązkach: zaglądał to tu, to tam, wreszcie podsycił się suchą strawą, wyrósł momentalnie i zaczął parskać z uciechy czerwonemi węglami...

Na uciętych kordelasem świerkowych gałęziach, wpół leżąc — wpół siedząc — wpatrzony w leśne ognisko, w samotności własnej duszy, czuwał dziad Antoni.

Nie chciało mu się do domu wracać. Bo i co tam? Żona dawno umarła. Syn z wnukami daleko, w mieście. A tu, we dworze, tylko stara jejmość ochmistrzyni, pyskata jak rzadko, no i — psisko dobre, przywiązane i serdeczne.

Jak płaty barwnych i zwiędłych liści, kołysały się wonne róże i obszarpane kłaki wspomnień...

Szmer — jakby kroków — przerwał mu tok myśli. Wytężył oczy, wpatrzył się w czarną otchłań lasu. Czyż być może? Czyż to możliwe? — zadawał sobie pytania. Tak, wyraźnie poznawał: była to znienawidzona szara sylwetka niby sąsiada, hrabiego Dulasego.

Pod wpływem jego widoku ożyła w sercu dziada Antoniego dawna nienawiść. Powstał — jakby idąc za czyimś rozkazem — i zaczął szukać na sęku strzelby... Obiecali bowiem kiedyś sobie, że — jeśli któryś z nich napotka drugiego na swoim terenie — w łeb strzeli z miejsca. Ktoś z nich dzisiaj wtargnął na nie swój teren, ale — kto?! Kto — na miły Bóg! Noc ciemna, może to ja pobłądziłem — zawahał się chwilę dziad Antoni.

Ujrzał jak dziwnie skrzą się w ciemnościach oczy hrabiego... Jak żywe, stanęły przed wzrokiem dziada Antoniego przewrotność i mściwość Dulasego.

Co był winien, że kiedyś, w młodości, pokochał narzeczoną hrabiego i że w wigilję ślubu uciekła ona — pełna miłości, trwogi i ufności — do niego? Z rozprawy honorowej, której udzielił — wyszedł zwycięzcą. Ale hrabia nie dał za wygraną. Przez całe życie tropił, jak samotny ogar, ich szczęście, przez całe długie życie... Aż żona dziada Antoniego ze zgryzot umarła!

Kiedyś ostro się przemówili (bodaj po pogrzebie) i wypluli ową groźną obietnicę, związaną z najściem obcego terenu.

Dziś — trzebaby ją spełnić!...

Dulasy miał broń: prawdopodobnie też wracał z łowów, bo niósł w trokach jakieś dwa dość duże ptaki. Więc jakże będzie, jak?! — walczył ze sobą dziad Antoni.

Już znalazł na sęku strzelbę. Tak mu ręce drżały, gdy ujmował ją za cudnej roboty szyjkę...

Z mroku zbliżył się do ogniska hrabia Dulasy — wolno, cicho. Uchylił kapelusza. W leśnej ciszy, przerywanej sykaniem małych drewien i opadaniem liści — zaszeleściło jedno spokojne słowo:

— Darzbór!

Olbrzymi kamień zleciał z piersi dziada Antoniego.

— Darzbór! — odparł z głębi, z duszy.

Dwie ręce splotły się w węzeł nad ogniskiem. Dwie twarze straciły umęczony, dziki wyraz i spoczęły w odcieniu serdeczności.

Jedna chwila, wykorzystana umiejętnie przez przypadek, pogodziła zwaśnionych — zdawałoby się — na śmierć i życie ludzi.

A czyż to jedną podobną historję znamy my, myśliwi? To nie bajda! Są to fakty, wyraźnie mówiące o nastrojach samotności, i o tem, że wyższe ukochanie, jakiem jest też i umiłowanie przyrody, zdolne jest przez swój uświęcający dzikiego nieraz człowieka wpływ zmienić go i przetworzyć na lepsze. Możemy bowiem wybaczyć przewinienia innym wtedy tylko, gdy sami doznajemy uczuć szczerych, serdecznych, kiedy staramy się odnaleźć w otoczeniu dobro i piękno, kiedy cieszymy się życiem i jego — zagubioną często przez obserwatora — harmonją. A te wartości spotkać możemy — poza religją — jedynie w obcowaniu z przyrodą i z najgenjalniejszym jej przedstawicielem, człowiekiem.



Jezioro Popis. Fot. Mjr E. Więckowski.

Nie lekceważmy więc nigdy towarzystwa człowieka nietylko w znaczeniu kompana na zbiorowem „bigosowem" polowaniu, ale — przedewszystkiem! — w znaczeniu serdecznej, przyjacielskiej, ludzkiej duszy, obecnej w godzinach leśnych włóczęg i rozkosznego szukania łowieckiej przygody.

TYTUS KARPOWICZ

ZAPOZNANE PIĘKNO

Dusza wiernego rycerza z pod Hubertowego znaku jest z wielu miar nader ciekawym komponentem. Do wypełnienia jej szczęściem po brzegi, szczęściem, które uderza do głowy, jak stare wino, nie trzeba rekordowych rozkładów, ani grubego zwierza w ostępie.

Czyż takich samych emocyj nie dostarcza myśliwskiemu sercu śmigający w podszyciu zagajnika leśny djablik — królik, co ruda plama zmyślnego mykity, sznurującego w brzeźniaku, lub głuchy tętent zwiastujący zbliżanie się czarnego zwierza?... Wśród łowieckiej braci zaś niejeden przedkłada dublet do królików na wąskim dukcie, nad powalenie beztrosko stojącego w drągowinie odyńca.

W każdym takim obrazku tkwi pewien swoisty urok, emanujący szerokiem tchnieniem lasu, radośnie przesycony słońcem rozbłękitnionego nieba, lub skąpany w potokach jesiennej szarugi, szary szarością chmur nisko porozwłóczanych nad ziemią. Momenty te razem wzięte, oglądane z perspektywy lat, wesołe czy smutne, tworzą grającą tysiącem barw, wiecznie żywą nić wspomnień, najpiękniejszy dorobek znojnego, myśliwskiego żywota.

I dlatego posunę się do twierdzenia, że w każdem polowaniu, czy w kniei czy w polu, na grubą czy drobną zwierzynę, tkwi niespożyte piękno. Trzeba je tylko umieć znaleźć. Raz będzie to niespotykany refleks śniegu, gorejącego w łunach przedwieczornych, kiedyindziej zadrży serce wzruszeniem na widok wzbijającego się racą stada przepysznie ubarwionych kogutów, lub roztkliwi bezradnością panicznie przyczajony w kotlinie pospolity szarak.

Z nich wszystkich w niesłusznem zapomnieniu spoczywają wzruszenia związane z drobnem polowaniem. Chętnie zaś dzielimy się z bliźnimi wspomnieniami z łowów na grubszego zwierza, chociaż w owym opisie jedyne piękno stanowi nieraz rzadkość przedmiotu polowania.

Nie zarzucam bynajmniej braku celowości wzmiankowanym opisom, ani ich potępiam w czambuł. Pamiętać tylko trzeba, że przeważającej części myśliwych nie jest dane wsłuchiwać się w mistyczne granie puszczy i dla nich wystarczyć musi chleb powszedni: miast łosi czy głuszców — zając i sarna, miast kniei z jej zadumą drzew olbrzymów i tajemniczością wykrotów — prozaiczny zagajnik, miast ośnieżonych szczytów, grozy zrębów i perlistego szmeru strumieni — monotonja zachodnich równin.

A jednak dla wielu z nich myślistwo, odarte naprzód doszczętnie z wszelkiej romantyczności, stanowi jedyną radość istnienia, jedyne umiłowanie. Dzieje się tak dlatego, że łowy nawet na najbardziej powszednią zwierzynę pozostają zawsze łowami — tym swoistym splotem wszelkiego rodzaju wzruszeń: radości czy zawodu i w każdej swej postaci emanują swoistym czarem.

Moje powyższe i poniższe wywody mają jeden jedyny cel: utwierdzić wierzących, przekonać niewiernych, że urok polowania nie zawsze idzie w parze z rodzajem zwierzyny, na którą się poluje, oraz „odkryć" zapoznane piękno polowań na drobną zwierzynę.

Przeczuwam już zarzut, jaki postawią niewątpliwie liczni przeciwnicy polowań w kotły: czy przy tego rodzaju łowach może być mowa o zachowaniu jakichkolwiek podniosłych, wiecznie trwałych wspomnień?

Sądzę, że tak. Całokształt bowiem długotrwałej dyskusji na ten temat wykazał niezbicie, że „kotły" swą smutną sławę zawdzięczają tylko pewnemu wynaturzonemu sposobowi ich przeprowadzania, kiedy stają się polem do popisu dla „strzelaczy" i rekordzistów, dążących coute que coute do fantastycznie dalekich strzałów i rekordowych rozkładów. Wtedy rzeczywiście trudno doszukiwać się innych wrażeń, prócz niesmaku. W normalnych jednak stosunkach wśród myśliwych, nie traktujących łowiectwa jako piedestał do problematycznej sławy „pierwszej strzelby" — nawet w tych okrzyczanych kotłach można znaleźć sporo zdrowego zadowolenia.



Po miocie na pędzone jarząbki w lasach p. J. Borowskiego w pow. wilejskim. Fot M. Borowski.

Polowałem w kotły rok temu w żnińskim powiecie, po czarnej stopie. Był szary, niewyjaśniony najmniejszym skrawkiem błękitu styczniowy ranek. Porywisty wiatr siekł boleśnie po twarzach zmarzniętych grudkami śniegu, przewiewał najbardziej nieprzewiewną garderobę — usiłując za wszelką cenę zmrozić łowieckie zapały. Kocioł za kotłem mijał w ospałym nastroju. Aż nagle stał się cud... Zamarła w bezruchu orka ożyła. Jeden za drugim zaczęły się od niej odrywać olbrzymie cienie, z wysiłkiem pracując skrzydłami. Były to dropie, ptaki niemal mityczne na ziemiach zachodnich. Przepłynęły nisko, tuż prawie nad głowami myśliwych, przeprowadzane tęsknym wzrokiem, zanim stopiły się w jedno z szarem tłem horyzontu.

Niepisane kroniki zajęczego szczepu podają, że wiele naonczas szarej braci salwowało się ucieczką z wrażej obieży, korzystając z zadartych ku niebu głów „panów stworzenia". I chociaż kocioł ten, jak wiele mu podobnych owego dnia, mocno zawiódł pod względem ilościowym ambicje gospodarza, wyrył się jednak niezatartemi głoskami w sercu każdego z uczestników.

Z wyjątkiem ostatniego przykładu obracałem się w rozważaniach wyłącznie z sferze teorji. Na zakończenie chcę zaapelować do uczucia. Kogo nie przekonały moje abstrakcyjne wywody — do tego może przemówi szereg obrazków, które mam zamiar nakreślić.

Było to w grudniu, dzień przed wilją Bożego Narodzenia. Po długotrwałych deszczach ustaliła się moż-

liwa pogoda. Przez noc prószył drobny śnieg, pokrywając lekko ściętą ziemię skrzypiącą powłoką firmu. Ranne słońce, ukryte jeszcze za opalowym welonem pierzchających chmur, słało raz po raz wybielonej ziemi nieśmiałą pieszczotę promieni.



Dwunastak strzelony w Radochońcach przez p. W. Wattsona.

Rozradowały się myśliwskie serca na widok tych wspaniałości, a każda chwila, każde pędzenie miało je coraz potężniejszym oplątywać czarem.

Na pierwszy ogień poszła długa ława przez drągowinę. Szedłem na prawem skrzydle po ogołoconym ze ściółki gruncie. Szanse napotkania w tym terenie zwierzyny były minimalne, spokojnie więc oddawałem się rozmyślaniom. Wzrok błądził po zastygłych w bezruchu pniach, a myśl utonęła we wspomnieniach. Las... zawsze ten sam, a jednak wieczyście inny...

Pamiętam ciebie, druhu, gdy w ciepłych promieniach marcowego słońca budzisz się z zimowego snu, widywałem w lipcowe ranki, gdy pieśnią witasz narodziny dnia, i o zachodzie, kiedy zasypiasz w modlitewnem skupieniu, współczułem ci płaczącemu w jesienne szarugi nad minioną świetnością lata, a jednak... jednak najsilniej do mnie przemawiasz w taki właśnie przedwigilijny dzień, gdy otulony śnieżnym płaszczem śpisz w oczekiwaniu cudu. Wtedy najmniejszy lasek wydaje się borem, sosny zdają się tkwić czubami w chmurach, w powietrzu nieomal uchwytne drży przeczucie czegoś nadzwyczajnego, czegoś, co przyjść musi...

Majestatyczną ciszę mąci gęsta palba odległych jeszcze strzałów. To lewe skrzydło weszło na skryte wśród lasów wrzosowisko. Pomiędzy drzewami zaczynają migać sylwetki kotów, ginąc w oddali lub od strzałów sąsiadów. Serce raz po raz podchodzi do gardła. Daremnie, żaden nie zjawia się w obrębie strzału. Znowu zając sadzi wśród drzew. Chybia go jeden myśliwy, drugi, to samo czyni mój najbliższy sąsiad — strzelam, kot zwija się, pada, zaraz wstaje i usiłuje przerwać się przez linję. Po drugim strzale znieruchomiał. Kątem oka dostrzegam w tym samym momencie oddalającą się sylwetkę drugiego. Chwila, a będzie zapóźno. Ruluję go z przyrzutu.

Teren powoli zmienia się — wchodzimy w maliniaki. Zaczyna być ciepło. Z gąszczu wypada zając, sadząc w lukę. Spotykamy się nos w nos ku obopólnemu przerażeniu. Dwa szybkie strzały i mój sympatyk pomyka zdrów, wydostawszy się z obieży. Odczuwam coś w rodzaju smutku, jako antidotum sprzątam dalekiego kota, kierującego się ku sąsiadowi, a ten za chwilę oddaje mi pięknem za nadobne. Śmiejemy się do siebie.

Las zaczyna się przerzedzać. Jeszcze dwie sztuki obciążają nagankę i — koniec. Z furkotem porywa się przyczajone na skraju stado kuropatw. Stoję teraz wpoprzek na leśnej trybie, wśród drągowiny reszta miłych towarzyszy. Dwieście kroków przedemną kica spokojnie zając, wydostając się z matni, a za nim drugi, czwarty, siódmy... część jednak po chwili zawraca. Strzelam jednego — ruluje dobre trzy metry, drugi za daleko. Następnego chybiam. Tymczasem pojawiają się pierwsze bażanty. Są jeszcze daleko, ale ciekną szybko przed naganką. Naraz przystają, snać czując niebezpieczeństwo, chwila zamieszania, poczem skręcają z tryby w las. Niezbyt fortunnie widać trafiły, gdyż po chwili z szumem zrywa się pierwszy śmiałek, by złamany w locie rozgorzeć barwną plamą na śnieżnym kobiercu. Nie wiem czy który z moich czytelników zwrócił uwagę na różne sposoby spadania trafionych bażantów. Oto jeden znieruchomiał nagle w powietrzu i opada z rozwartemi lotami, wolno kręcąc się dokoła własnej osi, jak wielki purpurą jesieni nabrzmiały liść, inny trafiony w największym pędzie przelatuje jeszcze kilkanaście metrów, obijając się bezwładnie o drzewa, nagle ślizga się do tyłu i martwy spada na ziemię, tamten, zbarczony tylko, ukosem steruje ku bezpiecznemu podszyciu, ów zaś koziołkuje z rozpędu i ciężko wali się w śnieg. W powietrzu pełno bażanciego puchu. W blaskach zachodzącego słońca spływające piórka zdają się przesycone rubinową krwią.

Strzały powoli milkną.

Wśród czubów sosen przewija się swoim lotem niewielki ptak. Śledzę go od chwili, niestety coraz to inna gałąź psuje mi obserwację. Teraz płynie przez dukt, widzę długi, wyraźnie odcinający się dziób. Błyskawica rozeznania: słonka! Zapóźno, już skryły ją zazdrosne konary.



Zatrzymany. Fot. J. Hołyński.

Powoli zapada mrok... schodzimy ze stanowiska.

Przebrzmiał gwar głosów, ucichło echo strzałów i las rozbudzony na chwilę znowu zapada w sen.

JÓZEF JASTRZĘBIEC-SZCZEPKOWSKI

NIEDŹWIEDŹ NA WOŁYNIU

W pierwszych dniach września r. b. otrzymałem jako Łowczy powiatowy od P. Starosty telefon, informujący mnie, że w gminie Budereż pojawił się nie mniej nie więcej tylko niedźwiedź. Oczywiście, że na tę wiadomość zapatrywałem się bardzo sceptycznie, gdyż nawet w miejscowych legendach myśliwskich nigdy o niedźwiedziu nie słyszałem, jednak ponieważ Starosta prosił, żeby o ile możności zwierza złapać. Telefonowałem natychmiast do najbliższej leśniczówki, by bacznie za „niedźwiedziem" śledzono. W odpowiedzi na to zakomunikowano mi, że blisko gajówki „coś" zjadło gajowemu sporo marchwi i że ślady podobne są do śladów Poleszuka niby w postołach. Oczywiście wiadomość ta już mnie zelektryzowała, a mniej więcej w godzinę potem telefon gwałtownie zadzwonił i doniesiono mi, że żona gajowego, wyszedłszy o zmroku na ogród, natknęła się wprost na dużego niedźwiedzia, który wcale nie myślał uciekać i najspokojniej konsumował marchew. Nie potrzebuję dodawać, jakiemu przerażeniu uległa baba, która tak blisko z powodu zmroku na niedźwiedzia się natknęła, że o mało mu z dzieckiem w ramiona nie wpadła. Od tej chwili zaczął się prawdziwy kinematograf, pełen niesłychanych wzruszeń myśliwskich. Tejże nocy niedźwiedź zadusił dwa konie gajowego, które poleciłem zostawić na miejscu i wykopać 3 metrową jamę, pokrytą darnią ułożoną na słabych świerkowych gałęziach i doskonale zamaskowaną. Oprócz koni, jako przynętę, przywiązaliśmy nad jamą barana, położyliśmy dobry wór marchwi i plaster miodu. Już o wczesnym zmroku niedźwiedź wyszedł z sąsiedniej kultury świerkowej i skierował się prosto ku jamie. Serce mi zamarło w oczekiwaniu, gdyż siedziałem mniej więcej o 200 kroków na wzgórzu, w dawnej kopalni kamienia, zupełnie jak w loży i doskonale mogłem go obserwować. Przed jamą się zatrzymał i trzeba trafu, że właśnie w tej chwili parę grudek ziemi usunęło się do jamy i niedźwiedź to usłyszawszy długo stał, wreszcie wspiął się na łapy, objął przedniemi łapami słup stojący nad samą jamą, tylnią łapą zaczął próbować ułożoną darninę nad jamą, parę sztuk zwalił do jamy i trzymając się przedniemi łapami słupa, sam róg jamy zgrabnie przestąpił, podszedł do barana, który stał jak zahipnotyzowany, jednym chwytem odciął mu głowę mniej więcej aż do uszu i zabrał się do konsumowania go. Tej nocy zjadł całego barana, dobry worek marchwi, oczywiście cały miód i spory udziec koński, co chwila zaś szedł do pobliskiego ruczaju, pił wodę, znowu jadł, kładł się obok, odpoczywał i znowu zabierał się do jedzenia. O świcie w ten sam sposób się wydostał i wrócił na swe legowisko. Od tego dnia był bardzo ostrożny, a ponieważ słupy kazałem podpiłować, spostrzegł się i jak akrobata przeszedł przez jamę po jedynej cienkiej desce, która była kantem położona! Przez 10 dni używał nadzwyczajnych forteli, by się dobrać do smacznej kolacji; brał np. łapami dolny drut, podważał do góry i wyciągał razem z drutem dwa sąsiednie słupy, co mu umożliwiło przejście pod drutami. Wreszcie którejś nocy, gdy się nad jamą namyślał, odważne parobczaki, którym codzienne stróżowanie dokuczało, zaszli go z kilku stron z widłami, strasząc i hukając, niedźwiedź stanął na łapach, lecz się cofnął o parę kroków i zsunął się do jamy, gdzie ryczał i strasznie się rzucał, póki jamy nie nakryto. Zaraz zatelegrafowałem do Białowieży, że proponuję by niedźwiedzia zabrano, jednak od piątku do wtorku nie otrzymałem żadnej odpowiedzi, wtedy zatelegrafowałem drugi raz w poniedziałek i we wtorek otrzymałem nareszcie odpowiedź: „niedźwiedź nie nasz, nie bierzemy" — Trzeba przyznać, że brak odpowiedzi i sama odpowiedź dziwna conajmniej, wobec sprowadzania niedźwiedzi aż z Sowietów. Jest rzeczą charakterystyczną, że niedźwiedź ten najwidoczniej tak się dobrze czuł u mnie w lesie, że nawet zaczął sobie najwyraźniej urządzać barłóg na zimę, dowodem tego jest również jego fenomenalny apetyt, który niedźwiedź zwykle okazuje w jesieni, by na długą zimę dobrze obrosnąć sadłem, i muszę przyznać, że strasznie mi było szkoda go niepokoić. Obecnie siedzi u mnie w cementowej jamie, dokąd musiałem go związanego przenieść, gdyż z jamy zwykłej byłby się wydrapał. Śpi po całych dniach, tylko w nocy chodzi i nie wiem wprost co z nim robić, gdyż ogrody zoologiczne jakoś nie reagują.



Chwilowo unieruchomiony.

Oryginalne jest również zapatrywanie Warszawskiego Ogrodu Zoologicznego, który twierdzi, że „złapanie owego niedźwiedzia w Polsce, w pobliżu granicy bolszewickiej, z punktu widzenia przyrodniczo naukowego nie jest niczem nadzwyczajnem", wtedy gdy pojawienia się niedźwiedzia w naszej okolicy najstarsi ludzie nie pamiętają, a nawet najstarsze legendy myśliwskie nigdy o niedźwiedziu w tych stronach nie wspominają. Wobec tego tak by się chciało, żeby ten piękny a rzadki zwierz w Polsce, dokąd przyszedł szukać gościny, znalazł też swobodę. Gdybym wcześniej był spostrzegł jego wyraźne zamiary spędzenia tu zimy, byłbym wszystko zrobił, by go w spokoju choć przez jedną zimę w barłogu zatrzymać, niestety, stał się zanadto popularny, a teraz procesje wprost się cisną, by go oglądać *).

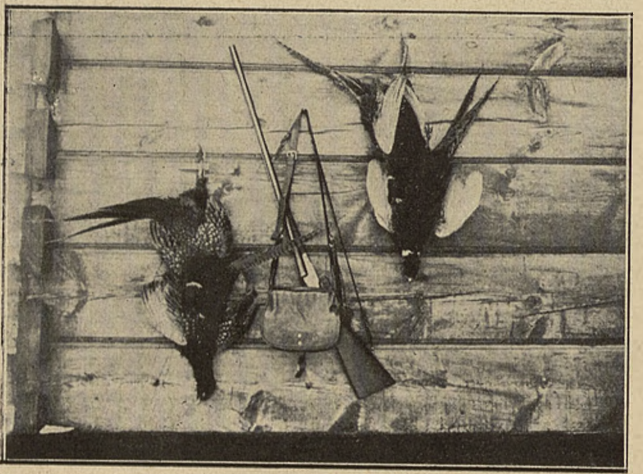
J. D. K.

*) Niedźwiedź ten obecnie znajduje się w Warszawskim Ogrodzie Zoologicznym. (Przyp. red.).

CYLINDER I CHOKE

(Dokończenie*)

Po bardzo pobieżnem przeanalizowaniu technicznej strony borowania luf śrutowych, warto się obecnie zastanowić nad realną, praktyczną wartością różnego rodzaju borowań, czyli różnego stopnia choke'ów dla myśliwego. W tej dziedzinie, jak i w bardzo wielu innych, o wyborze niestety przesądziła moda, naśladownictwo, a często i snobizm. Kiedy bowiem pojawiły się bronie o silnym choke'u, zostały one odrazu zastosowane przez tych myśliwych i strzelców, którzy mieli warunki do całkowitego wykorzystania nowego postępu. Chocke'i były wymyślone pierwotnie dla ludzi, strzelających poniekąd zawodowo i zyskujących poważnie na możliwości strzelania dalej. Byli to myśliwi zawodowi, dostarczający ptactwa — prawie wyłącznie kaczek — do miast w Stanach Zjednoczonych, oraz zawodowcy w strzelaniu do gołębi oraz rzutków. Odrazu też choke'i zostały przyjęte przez wszystkich amatorów pięknego sportu „krążkowego" i nieco barbarzyńskiego pseudo - sportu, polegającego na strzelaniu do wypuszczonych gołębi żywych. Rzecz zrozumiała, że strzelcy ci dążyli do uzyskania broni maksymalnie wydajnej i żądali choke'ów jaknajsilniejszych.



Bażanty. Fot. T. Pacyna.

Ogół myśliwych jednak, widząc lepsze rezultaty, zaczął odrazu naśladować mistrzów, nie zdając sobie zupełnie sprawy z wielkiej odmienności zarówno sprawności własnej, jak i warunków użycia broni. Istnieje bardzo wielka różnorodność w poziomie strzelców śrutowych. U jednego końca skali stoją dość nieliczni fenomenalni specjaliści, posiadający olbrzymią wprawę i mogący sobie pozwolić na takie dobieranie broni pod względem składności, wagi i pokrycia, o jakiem marzyć nie może przeciętny strzelec. Do tej klasy również trzeba zaliczyć i specjalistów od niektórych rodzajów strzelania do zwierzyny, a więc przedewszystkiem mistrzów od kuropatw pędzonych. Ludzie ci stanowią klasę osobną i nic dziwnego, że dzięki swej sprawności strzeleckiej chcą korzystać z broni jaknajbardziej wydajnej, aczkolwiek poważnie trudniejszej w użyciu.

U drugiego zaś końca owej skali sprawności widzimy nieraz bardzo dobrych myśliwych, ale strzelców wcale przeciętnych, nie specjalizujących się wcale, strzelających do zwierzyny różnorodnej, nie mogących sobie pozwolić na nadzwyczajnie staranne dobieranie broni i zadowolonych z osiągania — powiedzmy — 60-o procentowych wyników do kuropatw z przed psa, bekasów lub kaczek. Rzecz zdawałoby się zupełnie oczywista, iż wymagają oni innego typu broni, niż ci pierwsi, i że nie powinni się na nich ślepo wzorować.

*) Patrz str. 604 „Ł. P." Nr. 29.

Na czem właściwie polega różnica? Na tem, iż w broni o silnych choke'ach ma miejsce znaczne zwiększenie zagęszczenia snopa śrutu w jego środku, w środku koła, ale równocześnie i zmniejszenie całkowitej średnicy koła. Strzał staje się więc trudniejszy. Nie byłoby to jednak wadą z punktu widzenia prawidłowego łowiectwa, gdyż ostatecznie, jeżeli ktoś nawet ma ochotę strzelać do kaczek na ciągu kulami, a nietylko bardzo silnym choke'iem — i wszystkie pudłować — nic to nikomu nie szkodzi, o ile samemu myśliwemu sprawia to przyjemność. Ale wchodzi tu w grę wzgląd inny, ściśle związany z zagadnieniem etyki łowieckiej i humanitarności.

Chocke zabija dobrze i czysto na większe niż cylinder odległości, ale tylko samym środkiem snopa, gdyż środek ten jest bardziej zagęszczony, niż środek cylindra. Bokami snopa natomiast zabija gorzej niż cylinder, gdyż boki są rzadsze, a pozatem znajduje się w nich bardzo wiele śrutów zdeformowanych, zwolnionych, o mniejszej energji. Stąd strzelec doskonały będzie zabijał czysto zwierzynę na większe odległości, zaś strzelec słaby będzie zwierzynę kaleczył i ranił bezowocnie znacznie częściej przy użyciu choke'a, niż przy użyciu cylindra. Pełny choke wymaga celnego trafienia samym środkiem rozrzutu, w razie zaś trafienia bokiem jest więcej szans na zranienie, niż przy użyciu cylindrów.

Bardzo łatwo się o tem przekonać, szczególnie w czasie polowania na pędzone kaczki, jeżeli się samemu nie strzela, a ma się możność obserwowania całej linji strzelających. Przeciętny myśliwy, rozporządzający strzelbą wysokiej klasy o silnych choke'ach, ma przedziwną skłonność do strzelania na bezsensowne odległości. Oczywiście ptak nie pada, ale pilny obserwator o dobrym wzroku, zaopatrzony do tego jeszcze w słabo powiększającą lornetkę (nie ponad x4), może niezmiernie często zauważyć „zaznaczenie" kaczki po strzale, które dowodzi, że dostała ona jedną śrucinę, energia uderzenia nie była dostateczna dla strącenia jej z powietrza, poleciała naprzód normalnie, ale najprawdopodobniej za dzień lub dwa zginie bez najmniejszej dla nikogo korzyści. Zdanie moje potwierdzą niewątpliwie myśliwi, którym zdarzyło się mieć doprawdy dobre psy. Wiedzą oni, jak szczególnie mądry i udany pies umie rozpoznać, że kaczka jednak „dostała", wtedy gdy dla ludzkiego oka niema napozór żadnej reakcji, i jak później umie z głębi bagna, po długich poszukiwaniach ptaka zaaportować. A przecież takie psy są niesłychanie rzadkie, zaś tylko ich pomoc mogłaby poniekąd usprawiedliwiać podobne nie - myśliwskie i bezsensowne strzały. Niewątpliwie używanie choke'ów przez myśliwych, niedość dobrze strzelających lub strzelających na niewiarogodne odległości, sprzyja w wysokim stopniu marnowaniu zasobów zwierzyny.

Porozummy się, nie chodzi o nawrót do cylindrów, które są doprawdy bardzo mało wydajne i pożyteczne, za wyjątkiem polowania kniejowego lub strzelania wczesnych kuropatw, przepiórek, lub ewentualnie bekasów. Chodzi poprostu o nieużywanie maksymalnych choke'ów przez ludzi, nie mających do tego kwalifikacji. Choke'i mniej więcej 50-o lub 60-o procentowe pasują najlepiej do sprawności myśliwych — 50-o lub 60-o procentowych.

Zresztą w krajach o wysokim poziomie etyki łowtowe pasują najlepiej do sprawności myśliwych — daje się zauważyć poważny odwrót od choke'ów. W Anglji, gdzie naogół strzela się do zwierzyny pędzonej, wyhodowanej w bardzo dużych ilościach, i gdzie nie potrzeba się wysilać na dalekie strzały — trudno zdążyć strzelić do całej zwierzyny przelatującej blisko — silne choke'i nie przyjęły się nigdy

i pozostały wyłącznym przywilejem myśliwych na kaczki przelotne, ciągowe, lub też tych niewielu sportsmenów, którzy biorą udział w strzelaniu do gołębi na kontynencie. Poza specjalnemi modelami dalekonośnemi — najlepsi rusznikarze angielscy nie mają prawie nigdy na składzie broni o bardzo silnych choke'ach i strzelby takie trzeba zamawiać. Manję bardzo silnych choke'ów rozpowszechnili rusznikarze belgijscy, pracujący na eksport dla Rosji przedwojennej i Polski. Bronie robione dla rynku belgijskiego również silnych choke'ów nie mają. W Niemczech stosowano zawsze daleko idącą rezerwę wobec choke'ów, był krótki okres — w latach 1920-1926, kiedy nastąpiła moda silnych choke'ów, już dzisiaj jednak ma miejsce pełny odwrót, bardzo wiele broni można nabyć okazyjnie tylko dlatego, że ich właściciele chcą się ich pozbyć ze względu na zbyt silne choke'i, (nie wszyscy zaś sobie zdają sprawę z tego, iż staranny i wprawny rusznikarz może z wielką łatwością choke'i nieco rozszerzyć, przechodząc z 80-o procentowego pokrycia na 50-o procentowe).

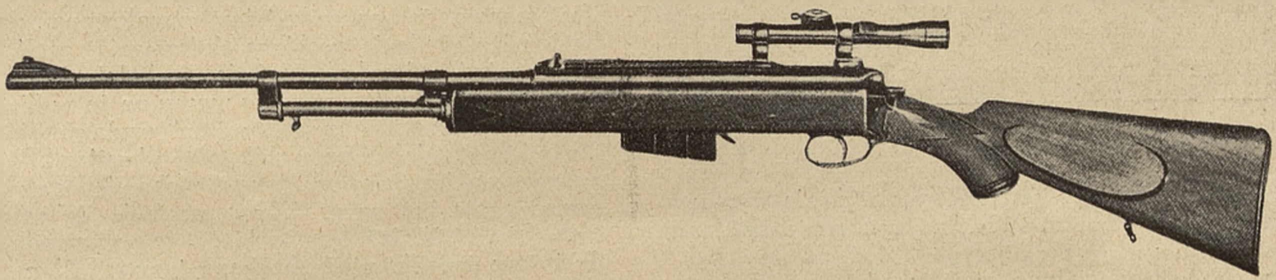
Nawet w strzelaniu do krążków dzisiaj przejawia się pewna skłonność do zmniejszenia choke'ów. Jest ona zrozumiała przedewszystkiem u tych strzelców, którzy mają szybszą reakcję nerwową, strzelają wcześniej, prędzej. Nie potrzebują oni tak gęstego snopa śrutów, mają natomiast znacznie większe szanse trafienia, gdy średnica snopa jest większa. Ci natomiast którzy strzelają wolno, nie automatycznie, celując, powinni dążyć do stosowania broni bijącej gęściej, lub też starać się o zwiększenie szybkości nerwowej.

Ale myśliwy — choćby najlepszy — nie będący wirtuozem strzału śrutowego, winien raczej wystrzegać się strzelb zbyt gęsto bijących, a nie poszukiwać ich. I może nie będzie paradoksem twierdzenie, że im lepszy, im prawdziwszy myśliwy, tem mniej będzie się starał o broń arcy - dalekonośną, trudną i grożącą kaleczeniem zwierzyny, o ile nie nastąpi trafienie samym środkiem snopa śrucin.

J. PODOSKI

AUTOMATYCZNY SZTUCER SYSTEMU „HOLEK"

Broń automatyczna jest obecnie w powszechnem użyciu. Każdy posiadacz bodaj pistoletu automatycznego obznajmiony jest z zasadami, na podstawie których jego broń funkcjonuje. Zdawać by się mogło, iż co do tego niema dwóch zdań. Sprawa jednakże nie jest tak prosta, skoro żaden z moich dotychczasowych znajomych, posiadaczy automatycznych śrutówek, nie



wiedział, dlaczego jego automat strzela doskonale, jeśli nie lepiej, to nigdy nie gorzej od zwykłej dubeltówki. Przecież powszechnie wiadomą jest rzeczą, że każdy automat na odrzucenie części zamkowych do tyłu zużywa sporo gazów, co ujemnie wpłynąć powinno na ostrość strzału!

Nikt nie wiedział, że po wejściu naboju do lufy zaryglowuje się kamera, że śrut opuszcza lufę przy pełnych gazach, że odryglowanie kamery następuje dopiero po cofnięciu się całej lufy do tyłu. Normalnie, chcąc wprowadzić nabój do lufy, chwytamy za wystającą małą rękojeść, przytwierdzoną do zamka, pociągamy lekko do tyłu i następnie rękojeść puszczamy, a sprężyna doprowadza zamek do pierwotnego położenia. Przy tych czynnościach lufa pozostaje nieruchoma, gdyż my, ciągnąc za rękojeść, najpierw zwalniamy rygle, a następnie odciągamy zamek. Aby się o tem przekonać, proszę odciągnąć od tyłu zamek automatu śrutowego bez chwytania za rękojeść, np. przy pomocy podważenia zamka jakiemś narzędziem. Dokonamy otwarcia, ale dopiero po cofnięciu lufy do tyłu. Na podobnych zasadach zbudowane są z krótkich broni palnych tylko parabellum, oraz Mauser kal. 7,63.

Pożądaną nowością, wypełnającą lukę w broni myśliwskiej automatycznej, jest sztucer systemu „Holek", produkowany przez czeską fabrykę broni Jana Finka w Brnie. Wymieniona broń sporządzana jest w kalibrze 8×57 i 7×57 do nabojów „H". Sztucer ma więc zastosowanie do zwykłych nabojów sztucerowych, w najpopularniejszych kalibrach, co należy uznać za okoliczność bardzo pożądaną. Automatyczne bowiem bronie zwykle bywają sporządzane do nabojów specjalnych.

Czterostrzałowy sztucer „Holek" jest bronią elegancką, pięknie i czysto wykończoną. Długość jego lufy wynosi 51 cm, waga całej broni 3,5 kg. Mechanizm bardzo prosty, przypominający mechanizm małokalibrowego sztucerka „Trombone" firmy F. N. Ma funkcjonować bez zarzutu. Można go dowolnie zamienić w każdej chwili na broń repertjerową przez zamknięcie zakrętka dopływu gazów do cylindra. Rozstrzał przy pięciu strzałach na odległość 100 metrów wynosi 10 cm (5 × 5).

Nie są mi znane dane balistyczne wymienionego sztucera, ale należy się spodziewać, że nie odbiegają one od tych walorów, jakie wykazują przeciętne sztucery repetjerowe, gdyż sztucer „Holek" wykazuje bardzo mało strat w gazach, mimo iż jest automatem. Zbudowany jest tak, jak niektóre bronie wojskowe automatyczne. Mniej więcej w połowie lufy, w jej dolnej części znajduje się malutki otworek, prowadzący do wnętrza lufy. Podczas strzału część gazów dostaje się owym otworkiem do cylindra, który, przesunięty gazami do tyłu, odmyka rygle i otwiera kamerę lufy. W międzyczasie jednakże, podczas cofnięcia się lufy do tyłu, a jeszcze przed jej odryglowaniem, pocisk już zdążył odejść przy pełnych gazach. Wymieniona broń, podobnie zresztą jak każda broń automatyczna, musi być utrzymywana w idealnej czystości, gdyż bardzo łatwo wkraść się może rak do cylindra, co spowoduje u broni utratę własności automatu. Broń ta przestanie też być bronią powtarzalną wtedy, gdy do wnętrza lufy dostanie się rak, a nawet gdy się lufa nieznacznie rozkalibruje. Zmniejszy się wówczas ciśnienie w lufie i w konsekwencji tego cylinder nie zostanie przesunięty do tyłu, czyli broń przestanie być automatem.

Mimo jednakże tych wad sztucer może na niektórych polowaniach oddać nieocenione usługi.

ANTONI SULIGA

„PASYNEK" A NIE „PASEMKO"

Bardzo niechętnie powracam do takiego tematu, w którym dalsze wyjaśnienia uważałem za zbyteczne. Ale czynię to pod wpływem przyjaciół, przypominających mi, że *„qui tacet consentire videtur"* i domagających się mej odpowiedzi na wywody Kpt. Kobylańskiego, zamieszczone w „Łowcu Polskim" nr. 16, str. 329.

Przypominam tedy, że podejmując zagadnienia, poruszone przez p. Zygmunta G l i n k ę, a nacechowane jego głębokiem poczuciem językowem i troską o poprawność słownictwa łowieckiego, wyjaśniłem m. i., że wyraz „pasemko", mające oznaczać odgałęzienie u łopaty łosia, a słusznie przez p. Glinkę podejrzewane, jest błędem, bo jest to poprostu przekręcony „pasynek" (Ł. P. nr. 9. str. 167).



W berlińskiem Zoo. „Nostalgja". Fot. T. Śl.

Kpt. Kobylański, który w swym wykazie wyrazów łowieckich, w „Łowcu Polskim" opublikowanym, nie zamieścił o wiele dawniejszego wyrażenia „pasynek" i na jego miejsce wstawił „pasemko" (Ł. P. 1937, str. 75) występuje w obronie tego terminu. Psychologiczna geneza tej obrony jest przypuszczalnie następująca: Kpt. Kobylański miał przed sobą oba wyrazy, „pasynek" i „pasemko". Bo trudno mi uwierzyć, ażeby układając ów wykaz nie uwzględnił tak ważnego źródła, jakiem jest słowniczek w Bobiatyńskiego „Nauce łowiectwa", zwłaszcza, że o tymże Bobiatyńskim i o tem jego dziele pisał swego czasu z takiemi pochwałami. Przyjmuję zatem, że p. Kpt. Kobylański wiedział, iż u Bobiatyńskiego figuruje „pasynek", a niema tam mowy o żadnem „pasemku". Tylko że p. Kpt. Kobylański nie zadał sobie trudu zbadania tego słowa, uważał je za niezrozumiałe, a może za błąd druku i wolał je pominąć, a raczej zastąpić później ukutem „pasemkiem", używanem bezkrytycznie przez autorów nowoczesnych, którzy poszli wygodną drogą naśladownictwa i powtarzali w dobrej wierze wyrażenie pozornie logiczne, a powstałe przez podobieństwo dźwiękowe zamiast dawnego, racjonalnego wprawdzie, ale w potocznej mowie mniej znanego.

„Pasynek" coprawda może być rusycyzmem, bo mamy w rosyjskim języku „pasynok". To jest zresztą w danym wypadku obojętne. „Pasynek" ma bowiem u nas prawo obywatelstwa i powstał niewątpliwie na tej samej zasadzie jak „pagórek" (pa—góra), „parobek" (pa—robić), „parostki" (pa—rość) i t. d., a więc „pasynek" (pa—syn). Przez dodanie owego „pa" wyraża się zazwyczaj pojęcie zdrobnienia. Stąd też „pasynek" znaczy pierwotnie coś „mniejszego" niż syn. Używano więc tego słowa na oznaczenie „pasierba" „wnuka" „prawnuka" i t. d., obrazowo zaś nazywano „pasynkami" drobne boczne gałązki rośliny („pasynkować" kukurydzę n. p., znaczy uwalniać główną gałąź od takich bocznych odrostków), taksamo wreszcie nazywano boczne gałązki u łopaty łosia. Wszystkie te znaczenia wyrazu „pasynek" znajdzie czytelnik w wielkim Słowniku języka polskiego, t. zw. Słowniku warszawskim (Karłowicz, Kryński, Niedźwiedzki). Powołując się na ten Słownik, Kpt. Kobylański stwierdza, że jest tam mowa o „bocznych odrostkach rośliny", poczem dodaje: „Stąd też łatwo myśliwy nazwał pasynkiem odrostek boczny łopat łosia". O nic więcej mi nie chodzi. Oczywiście „łatwo" nazwał, a Słownik wyraźnie to rejestruje.

Dlaczegóż w takim razie Kpt. Kobylański słowo to w swem zestawieniu pominął, pomieścił natomiast „pasemko", w którego obronie w dalszym ciągu staje? Powołanie się choćby z największą emfazą na tenże Słownik nie wyjaśnia zagadnienia. Istotnie, w tym samym tomie podano również, że i „pasemko" obok zwyczajnego znaczenia ma drugie, myśliwskie, t. j. że oznacza końce u łopat łosia, ale cóż z tego wynika? Jeżeli przyjmiemy, że Słownik, o którym mowa, jest i dla języka myśliwskiego źródłem absolutnie miarodajnem, to musimy uznać oba terminy myśliwskie na oznaczenie bocznych gałązek u łopaty łosia, to jest i „pasynek" i „pasemko". Jednakże już na pierwszy rzut oka można się domyślić co tu zaszło. Nie ulega wątpliwości, że słowo „pasynek" jeset w gwarze myśliwskiej starsze i że wtedy, kiedy ono było rejestrowane, nie istniało wcale „pasemko" na oznaczenie tego samego przedmiotu. „Pasemko" powstaje później, gdy równocześnie znika zrozumienie i używanie pierwotnego „pasynka". Jest jasnem, że „pasemko" jest dowolną, na podobieństwie brzmienia urobioną deformacją, czyli, jak się to mówi w językoznawstwie „wykolejeniem" słowa dawniejszego. Przykładów mamy na to w historji języka bez liku. Tak n. p. „*ba*stjon" wydawał się komuś niezrozumiały i przerobił go na „*be*stjon". W języku rosyjskim „pasyn*o*k" uległ wykolejeniu na „pasy*mo*k": oto już mamy jakby przejście do naszego „pasemka", chociaż to podobieństwo przypadkowe. Jesteśmy świadkami dyskusji na temat: „Olza" czy „Olsza" Słusznie pisze prof. Oesterreicher: „Na miły Bóg, bądźmy rozsądniejsi. Wszak znaczna większość nazw geograficznych jest już dla nas dziś niezrozumiała. Do czegoż byśmy doszli, gdybyśmy Dunaj, Wisłę czy San chcieli „poprawiać" na nazwy bardziej zrozumiałe i gdyby pierwsze lepsze *skojarzenie dźwiękowe* miało o tej poprawce rozstrzygać".

Słownik języka polskiego? Przecież to monumentalne wydawnictwo nie potrzebuje naszej obrony. Ale zarazem wiadomo, że poszczególne grupy wyrazów technicznych były w nim opracowywane przez specjalistów. Język łowiecki należy do tych dziedzin językowych, które dotychczas nie doczekały się opracowania naukowego. Przyjmowano więc materjał surowy, na odpowiedzialność kół myśliwskich, albo czasopism myśliwskich, z których pochodził. Ogromnego znaczenia naszych czasopism również nie będziemy kwestjonowali. Ale nie trzeba przeceniać znaczenia tych czasopism, jako bezapelacyjnych źródeł w kwestjach *językowych.* Wielką ich zasługą jest nagromadzenie wszechstronnego materjału. Jeżeli natomiast chodzi o gwarę poprawną, niezdeformowaną, niejedno musi być przebadane. Przecież mimo całego respektu, jaki mamy dla znakomitych myśliwych, powoływanych przez Kpt. Kobylańskiego na świadectwo słuszności terminu „pasemko", przyznać trzeba, że nie byli to badacze językowi i mogli niejedno źle zasłyszeć albo dowolnie przeinaczyć. Przyjmowanie bez zastrzeżeń każdego słowa użytego przez nich czysto z dziedziny językoznawstwa, czy n. p. z systematyki zoologicznej, byłoby bezkrytycznością, niezgodną z zasadami naukowemi, a przecież jeżeli mówimy o językoznawstwie, wkraczamy już w domenę nauki.

WITOŁD ZIEMBICKI

WOLNA TRYBUNA

Odstrzał rogaczy w lasach państwowych

Coraz częściej pojawiają się w „Łowcu Polskim" ogłoszenia poszczególnych Dyrekcyj lasów państwowych, że jest do odstąpienia odstrzał pewnej ilości rogaczy i to po cenie zgóry ustalonej (cena ta waha się w granicach od 20 — 60 zł.).

Takie ogłoszenie świadczy o dobrych zamiarach Naczelnej Dyrekcji powiększenia dochodowości lasów państwowych przez oddanie do dyspozycji myśliwych pewnej ilości zwierzyny łownej za opłatą. Myśl jest w zasadzie bardzo dobra, ale jej wykonanie napotyka na pewne i to nieraz bardzo znaczne trudności.

Przedewszystkiem nadleśnictwa nie rozporządzają fachowym personelem, do którego obowiązków należałoby zaobserwowanie, gdzie i jaka zwierzyna wychodzi, również podprowadzenie myśliwego na odległość możliwego strzału do rogacza nie jest rzeczą łatwą i wymaga pewnej rutyny.

Podam taki przykład: nadleśnictwo zawiadamia, że są 2 rogacze wypatrzone i podaje bliższe szczegóły polowania, prosząc o natychmiastowy przyjazd — myśliwy siada do samochodu, jedzie 130 km., poświęca całą noc i dzień następny i nietylko nie dochodzi do strzału, ale nawet nie widzi zwierzyny. Powie ktoś, że miał specjalnego „pecha" — ale nie na tem koniec. Kiedy zapytuje gajowego o jakość parostków tego „wychodzącego na koniczynę rogacza", otrzymuje odpowiedź, że „nie mógł stwierdzić, czy to rogacz czy sarna, bo sztuka ta miała uszy podniesione"!

A jeszcze jedna bardzo ważna kwestja: często myśliwy nie ma gdzie zanocować, by na drugi dzień jeszcze przed świtem być w lesie — na podjazd brak koni, na utrzymanie nie można liczyć i t. p. niespodzianki.

Już lepiej wygląda ta sprawa u właścicieli prywatnych łowisk. Tam otrzymuje się za pewną zgóry wyznaczoną opłatą całodzienne utrzymanie wraz z noclegiem, zwierzyna jest dokładnie wypatrzona, myśliwego podprowadza fachowy leśnik i w takich warunkach można liczyć na pomyślny rezultat, podczas gdy w lasach państwowych często kończy się cała impreza fiaskiem, a wpłacona zgóry suma za odstrzał przepada bezpowrotnie.

Jeżeli zatem Naczelna Dyrekcja Lasów Państwowych chce mieć pewne korzyści z tej akcji, winna:

1) poświęcić więcej uwagi zwierzynie (dożywianie, ochrona przed kłusownikami, obserwacja i t. p.);

2) utrzymywać taki personel leśny, któryby mógł być pomocny przy odstrzale rogaczy;

3) stworzyć myśliwym dogodne warunki pobytu na terenie polowania za pewną zgóry określoną opłatą, umożliwić podjazd zwierzyny i t. p.

Przy tej sposobności muszę stwierdzić, że znaczna liczba pp. nadleśniczych nie jest zupełnie poinformowana o celach Polskiego Związku Łowieckiego, o fachowem piśmie, organie tegoż i t. p. — jednem słowem niema żadnego kontaktu między naszą organizacją a przedstawicielami l. p., co musi wpływać niekorzystnie na podaną powyżej akcję Naczelnej Dyrekcji.

Czyby nie można było wysyłać pojedyńczym nadleśnictwom „Łowca Pol." za obniżoną opłatą (np. 10 złotych rocznie przy około 450 nadleśnictwach *), celem utrzymania między Związkiem a personelem lasów państwowych jaknajściślejszej współpracy?

Mam wrażenie, że Związek zdobyłby w ten sposób pewną ilość nowych członków, gdyż nadleśniczowie wzgl. leśniczowie, przeglądając „Łowca Pol." wstępowaliby w szeregi naszej organizacji, która — przy tych samych prawach — przyznaje im znacznie zniżone składki.

Rzecz naturalna, że w tym wypadku głos decydujący miałaby Naczelna Dyrekcja Lasów Państwowych, gdyż musiałaby się zgodzić na wyasygnowanie pewnej kwoty na prenumeratę „Łowca Polskiego" dla nadleśnictw.



Szóstak strzelony w Radochońcach przez p. W. Wattsona.

W Niemczech każdy leśniczy lasów państwowych musi prenumerować jedno z 3 fachowych pism łowieckich, bo każdy leśnik jest tam równocześnie hodowcą zwierzyny i myśliwym — u nas, niestety — nie mówiąc już o niższym personelu l. p. — mamy nadleśniczych, którzy dla łowiectwa nie mają najmniejszego sentymentu — są doskonałymi leśnikami, lecz zwierzynę łowną uważają za „zło konieczne".

Jeden z takich panów powiedział raz — gdy kilka sarn pasło się na zrębie: „jabym to wszystko kazał wystrzelać — to tylko szkody w lesie robi"!

Na podległym temu leśniczemu l. p. terenie tokowały cietrzewie (polowanie było wydzierżawione) „Cietrzewie obrywają czubki drzewek w szkółce i należałoby je z tego powodu wytępić" — tak pojmował ten pan swoje obowiązki — przecież to zdeklarowany wróg zwierzyny!

Tak dalej być nie może — tu musi nastąpić zasadnicza zmiana: leśnik winien być — jeżeli już nie myśliwym — to w każdym razie szczerym opiekunem zwierzyny.

Inż. BOLESŁAW DALBOR

*) Od paru lat personel Administracji L. P. otrzymuje „Łowca Polskiego" za pół ceny normalnej prenumeraty. (Przyp. red.).



Nakładem firmy wydawniczej Neumann-Neudamm ukazała się w ubiegłym roku praca Reuz Waller'a p. t. *„Der wilde Falk ist mein Gesell"*.

Ze względu na coraz większe zainteresowanie łowami z ptakami drapieżnemi warto tę książkę obszerniej omówić, tembardziej, że napisana jest z niebywałem znawstwem tematu.

Autor tej pracy znany jest, jako pierwszorzędny malarz zwierząt, to też książkę jego zdobią liczne fotografje obrazów i ryciny przez autora robione.

Nim przystąpię do omówienia treści tej pracy, muszę poinformować Szanownych Czytelników o genezie dzisiejszych zainteresowań sokolnictwem w Niemczech, o której to genezie Reuz Waller obszernie pisze w pierwszym rozdziale swej pracy.

Otóż jeszcze przed wojną kilku myśliwych interesowało się tego rodzaju polowaniem. Rozwój sokolnictwa w Niemczech datuje się jednak dopiero z okresu powojennego. Stworzono na wzór angielskich i holenderskich „Zakonów Sokolniczych" i w Niemczech zakon pod nazwą „Deutscher Falkenorden". Łowczy Rzeszy Niemieckiej gen. Goering zostaje niedługo członkiem tego zakonu i raz zakosztowawszy tej naprawdę rycerskiej rozrywki, staje się wielkim protektorem niemieckiego sokolnictwa. Od tej chwili zostaje ugruntowany byt zakonu i jego rozwój. Pozatem stały kontakt z zakonem angielskim pozwala sokolnictwu niemieckiemu na wprowadzanie zmian, dążących do poprawy i zaprawy sokolniczej.

Książka Reuz Wallera jest wydana, obok całego szeregu innych prac z dziedziny sokolnictwa, przy wybitnym poparciu przez zakon sokolniczy niemiecki.

We wstępie, dość długim, autor opisuje w sposób niezmiernie prosty, a równocześnie naprawdę fascynujący, swoje wrażenia i wspomnienia z polowań z sokołami, jastrzębiami i orłami.

Druga część jego pracy obejmuje solidnie opracowany podręcznik sokolnictwa. Podaje w nim autor wszystkie potrzebne wiadomości z dziedziny hodowli, obłaskawiania i układania ptaków drapieżnych do polowań. Wreszcie podaje słownik niemieckiej gwary sokolniczej. Nie brak też krótkiego opisu wszystkich chorób, które gnębią sokoły. Niezmiernie ciekawy jest fakt, iż jastrzębie, a raczej sokoły przywiezione z północy, z Grenlandji, Norwegji i t. d. najłatwiej zapadają na gruźlicę i nic ich nie uchroni przed śmiercią. Autor podkreśla na każdej prawie stronicy, że ptaki te muszą mieć niezmiernie troskliwą opiekę, że należy je chronić przed deszczem, mrozem, wilgotnem pomieszczeniem i t. d.

Oprócz podania różnych systemów obłaskawiania, autor podkreśla z naciskiem, że na to, aby ptak był dobrze ułożony do polowań, musi być układany na jedną tylko zwierzynę. Zupełnie czemś nowem, dla mnie przynajmniej, jest układanie sokołów na gawrony, wrony i sroki. Reuz Waller stwierdza, że polowanie to daje równie silne emocje, jak każde inne z ptakami drapieżnemi. Polowanie to podobno w Anglji praktykowane jest oddawna.

Zainteresowanie, jakie w ostatnich czasach przejawiają myśliwi niemieccy, a ostatnio i polscy (Dawidgródek) pozwalają sądzić, że zbliża się okres renesansu sokolnictwa w Europie. W ostatnich czasach bowiem t. j. jeszcze przedwojennych sokolnictwo istniało już tylko w Persji, Japonji, krajach mongolskich, wogóle w Azji i bardzo nielicznie u Arabów, jak to wskazuje świetna praca niemieckiego uczonego prof. Bergera, wydana p. t. „Die Jagd aller Völker im Wandel der Zeit".

Dzisiejszy rozwój sokolnictwa w Europie datuje się z okresu już powojennego i stale wzrastające zainteresowanie się niem świadczy, że i ta gałąź łowiectwa rozwinie się i ma przed sobą dużą przyszłość. Oczywiście jeszcze dużo czasu upłynie, nim stanie się sokolnictwo dostępnem dla wszystkich, ale już dziś musimy o tem pomyśleć.

Polska, posiadająca rozległe lasy, odwieczne puszcze, w nich posiada materjał, gdzie należy szukać przyszłych towarzyszy polowań. Nie potrzebujemy dziś jeszcze szukać sokołów grenlandzkich czy innych, puszcze nasze żywią jeszcze dość pokaźne ilości gołębiarzy, krogulców, kobuzów, sokołów wędrownych, a nawet i orłów. Reuz Waller wyraźnie mówi, że najłatwiej tresować i układać do polowań gołębiarze, a tych nam nie brak.

Dłuższy artykuł dr. Dehnela o sokolnictwie, drukowany w „Łowcu Polskim" i jak wiem z zainteresowaniem czytany, wskazuje, że i w Polsce myśliwi myślą o renesansie łowów z sokołami.

Dlatego też uważałem omówienie pracy Reuz Wallera za bardzo wskazane i konieczne, tembardziej, że jest to dzieło solidnie opracowane i może być doskonałym podręcznikiem dla polskich sokolarzy.

M. MNISZEK TCHORZNICKI.

*

Nakładem firmy Paweł Parey w Berlinie ukazało się nareszcie wydawnictwo oddawna zapowiadane, które miało zjawić się na półkach księgarskich jeszcze na wiosnę bieżącego roku. Jest to dzieło pamiątkowe z Międzynarodowej Wystawy Łowieckiej w Berlinie r. 1937. Wydane zostało przez Państwowy Związek Niemieckiego Łowiectwa i nosi tytuł *„Waidwerk der Welt"* (Łowiectwo świata). Tom ten, formatu folio, obejmujący wraz ze spisem subskrybentów 468 stron, zawiera 21 barwnych obrazów i 825 jednobarwnych ilustracyj.

Zewnętrzna szata, począwszy od pierwszorzędnego papieru kredowego, na jakim książkę tę wydrukowano, wspaniałych kolorowych obrazów i pięknych jednobarwnych t. j. czarnych ilustracyj, kończąc na solidnej, gustownej oprawie nakładowej płóciennej, przedstawia się wspaniale. Jedno co zarzuciłbym stronie zewnętrznej z naszego punktu widzenia, to kaleczenie w nazwiskach i różnych nazwach polskiego języka; czasami są one dobrze podawane, a czasami wprost niemożliwie. Np. pod reprodukcją Fałatowskiego polowania na niedźwiedzia podane jest nazwisko malarza, znane całej Europie, jako „Talat", zaś nazwisko ś. p. B. Świętorzeckiego wykrukowano „B. Swietorczeckis". Pozatem stałe nieuwzględnianie naszego „ą", bardzo często omijanie „ł" i „ń", a wkońcu opuszczanie pewnych liter, lub zastępowanie naszego „w" niemieckim „v", nie da się wytłomaczyć brakiem czcionek, bo od czasu do czasu trafia się i „ł" (np. Radziwiłł) i „ń", a więc dysponowano polskiemi czcionkami, a tylko nie zadano sobie trudu zrobienia polskiej korekty. Zresztą ta strona wogóle zdaje się szwankować, bo przy pobieżnem czytaniu trafiłem i w tekście niemieckim na parę błędów drukarskich, jak np. opuszczenie pewnych liter. *Errare humanum est*, ale w wydawnictwach luksusowych, do jakich tę księgę pamiątkową bezwzględnie zaliczyć należy, trzeba dążyć do unikania tego rodzaju błędów, których zresztą łatwo uniknąć można.

O ile chodzi o samą treść, to trzeba się z jaknajwiększą pochwałą do niej odnieść. Daje ona nietylko zapomocą pierwszorzędnych zdjęć, ale i przez artykuły pisane przez wybitnych fachowców każdego z wystawiających państw, nietylko pogląd na całą wystawę i utrwala to, co pozostało w pamięci zwiedzających ją, ale co więcej daje możność tym, którzy nie mieli sposobności jej zwiedzać, wyrobienia sobie obrazu tego, co wystawa ta reprezentowała. Oprócz tego szereg artykułów omawiających pewne działy, czy też eksponaty względnie kolekcje, stanowi ogromnie pouczający materjał nietylko historyczny, ale także łowiecko - naukowy. Liczne tablice działają wysoce pouczająco, czy to informując o rozmieszczeniu zwierzyny (chociaż zawsze najwięcej o terenie Rzeszy Niemieckiej), czy o rozwoju hodowli, czy wreszcie dając w osobnych tablicach porównanie poroży np. różnych jeleni całego świata, czy też egzotycznych zwierząt, albo wkońcu przedstawiając typy wszelkich psów myśliwskich.

Zazdrościć można atoli poparcia, jakiego tego rodzaju wydawnictwa tam doznają np. na 4995 egz. (z tego z Polski 147 egz.) sam Urząd Łowczego Rzeszy Niemieckiej figuruje z 500 egzempl., a od nr. 3099 do 4995, to z małemi bardzo wyjątkami — sami funkcjonarjusze „Deutsche Jägerschaft". Cena w subskrybcji wynosiła w naszej walucie ca. 59 zł., zaś w zakupnie wyniesie zdaje się około 79 zł.

S. M.

udomowienie mogło mieć miejsce tylko w późniejszych, wczesno- lub późno-historycznych okresach, moment religijny jest słusznie wysuwany w odniesieniu do niektórych zwierząt, jak kot, kura, ewent. i bydło — co do reszty wpłynęło na to coś, „co było zespołem sił tkwiących w człowieku, jak w dzikim gatunku zwierzęcia, przy sprzyjających oczywiście warunkach i tendencji do rozwoju duchowego pewnych szczepów ludzkich".

Twierdzenie powyższe poparte jest szeregiem przykładów, dalej omawia Autor czynnik mutacyjnych właściwości, dzięki któremu osobniki zwierząt właściwości te posiadające były mniej dzikie i te właśnie człowiek zaczął hodować przedewszystkiem i zwolna przystosowywać do swego życia, jako towarzyszy i pomocników w polowaniu. W ten sposób powstał pies myśliwski. Dziś wykorzystanie owych właściwości zawiodło hodowlę różnych ras psów nietylko na drogę przystosowania psa do pewnych celów i użytków, lecz również na drogę tworzenia przeróżnych dziwolągów i ras „ozdobnych" (taksamo hodowlę gołębi i drobiu).

*

Widokówki krajoznawcze, nakład Zjednoczonych Zakładów Kartograficznych i Wydawniczych Tow. Nauczycieli szkół średnich i wyższych, *Książnicy Atlas*, Sp. Akc.

Po raz trzeci piszę już o tem nadzwyczaj artystycznem, miłem dla oka i budzącem ochotę do poznania piękna własnego kraju wydawnictwie. Wśród autorów zdjęć fotograficznych, reprodukowanych na widokówkach, są znani już dziś szerokiej publiczności artyści, poławiacze rodzinnego piękna.

Że wymienię znane nazwiska: Wł. Puchalskiego, Bułhaka, Lenkiewicza, Klemensiewicza, Wieczorka, Krystka, Maciejki...

W serji ostatniej, jaką rozpatruję, składającej się z około 70 sztuk kapitalnych zdjęć fotograficznych, na szczególne wyróżnienie zasługują Krystka: „Limba nad Morskiem Okiem"; Bułhaka kapitalne niezrównane zdjęcie: „Niemen w Druskienikach", „Jezioro Narocz", „Worończa" i „Stogi nad Bobrykiem na Polesiu" — są to jakby wspaniałe obrazy malarskie żywej natury — i szereg innych, jak: „Zełene, na Uhorskim" Kokurewicza; „Ze Sokolicy" (Pieniny) Gerhardta, „Zagrody w Sławsku" Klemensiewicza. Prześliczne są Wł. Puchalskiego zdjęcia z nad polskiego morza: „Schnące żaki", „Powrót do portu", „Odpływ", „Ślady w piasku" i „Mewy", oraz Kupca: „Tramp w porcie" i „Sieci rybackie na Helu". Dalej niezwykle miłe są „Dworek wileński", z postacią białowłosej staruszki, Wieczorka, „Stary dworek" Lenkiewicza, „Ul na drzewie w Parochońsku" Bułhaka i „Szarotka Tatrzańska" Romana Puchalskiego. Wreszcie z pośród fragmentów miast i zabytków wybija się „Rynek Starego Miasta" Mizerskiego, „Domki robotnicze z czasów Tyzenhauza" (Grodno) Bułhaka i „Kościół Marjacki z ul. Florjańskiej" Lenkiewicza.

W serji tej mamy również pięć ciekawych i artystycznych zdjęć typów ludowych: „Mody górali"—świetny portret—Romana Puchalskiego, „Składanie darów na grobach" (z obrzędów huculskich) Kokurewicza oraz „Gospodarz z Żabiego", „Dudziarz z Jaremcza" i „Hucułki przed cerkwią w Jamnej" J. Mierzeckiej.

Jest jeszcze jedno niezmiernie ciekawe zdjęcie Bułhaka: „Kamieniołomy" w Janowej Dolinie na Wołyniu, pozatem szereg pamiątkowych fragmentów z Targów Wschodnich w doskonałem wykonaniu Maciejki i Kołodzieja.

Widokówki krajoznawcze wydawnictwa Książnicy Atlas są naprawdę doskonałej wartości artystycznej i mogą być polecone, jako celowy i doborowy materjał propagandowy.

WŁ. Z.

Z PRASY ZAGRANICZNEJ

WILD UND HUND

Nr 30/1938 str. 479. Hübner *„O borsuku"*. — Autor, będąc posiadaczem terenu w Niemczech północnych z dość znaczną ilością borsuków, zajął się zbadaniem ich trybu życia i dzieli się z czytelnikami zdobytemi spostrzeżeniami. Płeć młodych borsuków nie da się z cech zewnętrznych określić. Dopiero stary borsuk samiec różni się wyraźnie od samicy zarówno ciemniejszą barwą włosia, jak wielkością, szerokością piersi i mocniejszą budową tułowia. Jamy, składające się zawsze z jednej lub więcej komór, mają tem więcej kanałów wyjściowych, im jama jest starsza. Aczkolwiek przy jamach łatwo jest spotkać borsuki o wszelkich porach dnia, to jednak dla obserwacyj bardziej szczegółowych trzeba urządzać zasiadki od strony podwietrznej na długo przed zachodem słońca, względnie przed wschodem. Wieczorem wychodzą zazwyczaj pierwsze młode borsuki, bez szczególnej ostrożności, wślad za niemi samica-matka, oglądając się wokoło przed opuszczeniem jamy, poczem zabiera młode z sobą, udając się na poszukiwanie pożywienia. Nieco później ukazują się w otworze starsze borsuki, wysuwając i cofając głowę kilkakrotnie, i dopiero po upewnieniu się, że nic nie grozi, wychodzą całkowicie, otrząsając się i skrobiąc, jak to robią psy, albo też czochając się o drzewo, aby pozbyć się gliny czy piasku na szerści. Główną przyczyną zmuszającą borsuki do opuszczenia jamy jest oczywiście poszukiwanie pożywienia, ale również powoduje to potrzeba ruchu, a także pragnienie. Borsuki piją wody dużo, kąpią się chętnie. Autor widział nieraz, jak na brzegu jeziora borsuk pił długo, poczem wchodził do wody aż po grzbiet, poruszał się w wodzie, jakby się bawił, wreszcie wychodził na brzeg i tarzał się w piasku. Autor był również świadkiem, jak borsuki przepłynęły wpoprzek całe jezioro, dążąc do lasu dębowego na żołędzie.

Okres parzenia się borsuków przypada na wrzesień-październik. Ponieważ okres noszenia trwa 6 miesięcy, przeto młode przychodzą na świat w lutym — marcu. Podobnie jednak jak u dzików, objawy grzania się mogą u borsuków ujawniać się zarówno wcześniej, jak później. Autor obserwował zaloty borsuków już w końcu czerwca. Samiec ganiał długo samicę, która się odgryzała i starała wymknąć; kilkakrotne próby pokrycia nie udawały się, sapanie obu zwierząt rozlegało się coraz głośniej, zażartość ich zdawała się potęgować i grozić przejściem w walkę. Wkońcu borsuk złapał samicę zębami za kark i wtedy dopiero udało mu się ją pokryć. Po akcie pogodzona para udała się do jamy. Jest rzeczą charakterystyczną, że podczas okresu rui samiec wypędza młode z nory, używając jako broni zębów. Jako wyraz bólu, wydaje borsuk kwiczenie, podobne do prosięcego.

Borsuk nie zapada w sen zimowy trwały. Zimą wychodzi on wielokrotnie z jamy, głównie do wodopoju, ale również i dla pożywienia się. Najchętniej wówczas korzysta on z padliny, kładzionej dla dzików, wilków czy lisów, lub z mięsa zwierzyny padłej, ale nie gardzi i zmarzłemi kartoflami, rozsypanemi dla dzików.

Autor śledził zachowanie się samicy szczennej, zamieszkałej samotnie w jednej z jam. W początkach kwietnia widział ją, jak wczesnym wieczorem wyszła z jamy na żer. Karmiła się świeżą trawą, szukała korzonków. Można było zauważyć nabrzmienie sutek. Po upływie 4 tygodni spotkał ją przy jamie już w towarzystwie 3 młodych, które bawiły się z nią, później ssały. Po pewnej chwili borsuczyca wstała, otrząsnęła się i poszła w las. Młode bawiły się czas jakiś, potem, kiedy ochłodło, poszły do jamy. Nad ranem wróciła matka, nic nie niosąc w pysku, ale policzki miała mocno wypchane. W parę dni później przyniosła w pysku korzenie tataraku, następnym razem — parę myszy. W lipcu małe karmiły się wraz z matką trawą na łące, a później czernicami w lesie. W sierpniu młode już chodziły samodzielnie.

Budowę jamy borsuczej poznał autor dzięki przypadkowi. Jakiejś parze małżeńskiej, spacerującej w lesie, towarzyszący im mały jamnik wpakował się do otworu wejściowego jamy borsuczej. Czas jakiś słychać było ujadanie, później wszystko ucichło. Za zezwoleniem leśniczego rozpoczęto odkopywanie jamy. Na głębokości 1.5 metra trafiono na obszerną komorę, wysokości pół metra, utrzymaną czysto i dobrze wysłaną mchem, trawą i paprociami. Ponieważ jamnika tam nie było, postanowiono kopać dalej i zauważono otwór, świeżo zasypany ziemią. Po jej odrzuceniu trafiono na drugą, mniejszą komorę bez wyjścia. Tam znaleziono martwego jamnika, resztki spożytych szczurów i myszy, turzycę zajęczą, kostki ptasie, odpadki roślinne oraz odchody młodych borsuków. Tego rodzaju śmietnik znajduje się w każdej jamie, ale obok tego budowane są i spiżarnie na skład np. żołędzi przed zimą. Od głównej komory wyprowadzone są często kominy dla wentylacji, zgóry przemyślnie przykrywane. Komory są często oczyszczane ze zbutwiałych liści, mchu i trawy, poczem znowu wyściełane świeżym materjałem. Autor zauważył, że główną składową częścią takiej

Dr. W a n d a B r z e s k a: *Św. Hubert.* Poznań 1938. Stron 29. Cena 30 groszy.

Miła i mała, bo formatu 8 x 13 cm broszurka, o której zapewne świat łowiecki nic nie słyszał, choć porusza temat najbliższy sercu myśliwskiemu. Mówi ona bowiem o św. Hubercie, patronie myśliwych i łowów. Broszurka ta wyszła nakładem dobrze zasłużonej już księgarni św. Wojciecha w Poznaniu, jako 74 z rzędu wydawnictwo z cyklu „Postacie Świętych". Autorka, pielęgnująca w swej duszy wielką miłość przyrody, rozpoczyna swą pracę silnem wyczuciem nastroju myśliwskiego, prawdziwą poezją:

„Na dźwięk imienia św. Huberta budzi się w wyobraźni zwid puszczy zielonej, czuje się zapach leśnych kwiatów, zdaje się, że słychać gdzieś, echem górskiem przyniesiony dźwięk trąbki myśliwskiej i wesołe naszczekiwanie psiej gromady. Jarem głębokim płynie strumień szumiący, górą ciągną zwiewne obłoki, a pośród krzewów jałowców, po brunatnym poszyciu igliwia i mchu ciepłym, wśród cieniów sosen rudych a wysmukłych coś szuści, przesuwa się ostrożnie, skrada z ukrycia i lada chwila ukaże się szeroko poroże wspaniałego jelenia lub wąski pyszczek wystawi mądry lis, zaczajony na ptactwo wodne między kępami łozy i tataraku. Imię św. Huberta to symbol radości i wesołej ochoty łowieckiej, to obraz nabrzmiały gorącym entuzjazmem życia".

I dalej snuje autorka historję życia Huberta, tego z pięknego i dostojnego gniazda pochodzącego rycerza, który młodość swą spędził w głębokich ostępach leśnych, aż nadszedł wielkopostny czas, gdy w lasach ardeńskich dokonał się cud w postaci pojawienia się Hubertowi w czasie łowów białego jelenia z świetlistym krzyżem między rogami.

Najpiękniejsza to legenda średniowieczna, jaką tylko romantyczny umysł i fantazja uczciwej nawskroś duszy wykreślić zdołała. Postanowił Hubert porzucić łowy i osiadł w pustelni. I oto teraz przypominają mu się najlepsi i jedyni przyjaciele jego bujnej młodości, sosny i jodły wysmukłe. „Śni mu się zielony zwid olbrzymich kasztanów na słonecznych polankach i krzyk ptactwa wodnego o świcie, i daleki rechot dzików w ostępach, i chrzęst łamanych gałęzi, gdy w zorzy wieczornej ciągnie zwierzyna do wodopoju". Lecz już z łukiem do kniei nigdy nie wyruszył. Został biskupem i świętym.

Autorka mówi dalej o kulcie św. Huberta, przejawiającym się w Polsce pod różnemi postaciami, wspomina o tej dawnej polskiej drużynie, która rankiem śpieszyła na mszę św. do kapliczki św. Huberta położonej w lesie, a gdy ksiądz pobłogosławił broń i łowców, z otuchą pędziła na polowanie.

Broszura sercem pisana, ma też harmonizującą z treścią okładkę, przedstawiającą św. Huberta; jest to znany linoryt Leli Pawlikowskiej. Jedyna to ilustracja w tej broszurze, szkoda że tylko jedna.

Mają Niemcy bogato ilustrowaną broszurę Henryka Uhlenhuthą pt. „St. Hubert, der Schutzpatron der Jäger und seine Legende", Neudamm 1906; mają Francuzi również pełną pięknych rycin pracę Henryka Martin'a pt. „Saint Hubert", Paryż; my narazie zadowolić się musimy minjaturką, jaką jest — w stosunku do obfitości polskiego materiału Hubertowskiego — broszurka p. Brzeskiej. Początek jednak zrobiony i to dobry. To już wiele znaczy.

JÓZEF WŁ. KOBYLAŃSKI

*

W zeszycie 7 z września r. b. czasopisma „Przyroda i technika", poświęconego popularyzacji nauk przyrodniczych i technicznych, spotykamy się z nadwyczaj ciekawym artykułem P r o f. dr. K a z i m i e r z a W o d z i c k i e g o p. t. *Pochodzenie zwierząt domowych*". (Jest to tekst wykładu, wygłoszonego w lutym r. b. w Tow. Kopernika).

Z rozważań w pracy tej zawartych, opartych na poglądach szeregu uczonych-badaczy, dowiadujemy się, że zwierzęta domowe są tworem n i e p o r ó w n a n i e m ł o d s z y m o d c z ł o w i e k a; następnie, że zwierzęta domowe niemal bez wyjątku pochodzą wyłącznie od zwierząt dzikich, prowadzących mniej lub więcej s o c j a l n y t r y b ż y c i a, u tych bowiem zwierząt istnieje zawsze czynnik przewodzący, głowa stada, którą zastępczo, a potem na stałe, staje się człowiek. I tak udomowienie królika przyszło stosunkowo łatwo, jest to bowiem zwierzę żyjące w stanie dzikim w większych skupieniach po lasach i wydmach piaszczystych, natomiast nie zdołano tego uczynić z zającem, który w naturze swej nie posiada pierwiastka socjalnego, prowadząc — poza okresem parkotów — tryb życia samotnika.

Dzięki pracom prehistoryków posiedliśmy wiadomości o czasie pojawienia się pierwszych szczątków zwierząt domowych obok szczątków ludzi.

Na tych podstawach Prof. dr. Wodzicki zestawia „tablicę pochodzenia kilku ważniejszych zwierząt domowych w porządku chronologicznym ułaskawiania", którą tu produkujemy:

Gatunek zwięrzęcia domowego	Forma dzika	Czas domestykacji
Pies	1) wilk *Canis lupus* L. 2) szakal *C. aureus* L.	środk. epoka kamien. 16.000—6000 prz. Chr.
Bydło	1) tur † *Bos primigenius* Boj. 2) tur krótkorogi † *B. brachyceros* Adametz	młod. epoka kamien. 6000 — 2000 prz. Chr.
Świnia	1) dziki europ. *Sus scrofa ferus* L. 2) „ śródziemnomoskie *S. scr. f. mediterranea* Ulmansky-Staffe 3) azjatyckie *S. vittatus* Mühl. Schl.	„ „
Owca	1 muflon *Ovis Musimon* Schreb. 2) „ azjatycki *O. orientalis* Gm 3) Argali (?) *O. ammon* L.	„ „
Koza	1) capra prisca † Ad. Niezabitowski 2) koza bezoarowa? *C. aegagrus* L. 3) koza śruboroga *C. falconeri* Hume	„ „
Osioł	1) osioł nubijski *Equus asinus africanus* Fitz. 2) „ *E. as. somalensis* Noack	„ „
Koń	1) tarpan † *E. Gmelini* Ant. 2) koń Przewalskiego *E. ferus* Pall. 3) koń leśny (cięźki) † *E. Abeli* Ant.	„ „
Kot	1) kot nubijski *Felis ocreata* Gm.	około 2000 prz. Chr.
Kura	kura bankiva *Gallus ferrugineus* L.	„ „
Królik	1) królik dz. *Oryctolagus cuniculus* L.	późny okres staroż.

Dalsza część omawianego zagadnienia dotyczy przebiegu procesu ułaskawiania zwierząt. Co do tego wyraża się Prof. dr. K. Wodzicki, że przeważnie j e s t e ś m y z d a n i n a s p e k u l a c j e l u b w y p r o w a d z a n i e w n i o s k ó w z a n a l o g j i. Istnieją trzy poglądy: 1) udomowienie nastąpiło na drodze celowości zadania ze strony człowieka, 2) decydujący wpływ na to wywarły momenty religijne i 3) udomowienie miało charakter przypadkowy.

Co do pierwszego poglądu, to zdaniem Autora należy go odsunąć, uznając za wykluczone, ażeby poziom umysłowy człowieka w zaraniu środkowej epoki kamiennej wskazać mu miał podjęcie olbrzymiego trudu udomowienia zwierząt dla korzyści następnych, dalszych znacznie generacyj. Natomiast drugi pogląd uważa za niepozbawiony pewnej dozy prawdopodobieństwa. I tak kult dla księżyca mógł spowodować pewien kult dla bydła z uwagi na podobieństwo miesiąca w pewnej fazie do poroża bydła (Hahn). Gdy bydło zatem zaczęto chwytać i trzymać w zagrodach przy świątyniach, by użytkować je na ofiary dla bogini (wzrostu, dojrzewania i rozrodu), wkońcu mogło się ono rozpocząć rozmnażać, dając zapoczątkowanie bydłu domowemu w ścisłem znaczeniu tego słowa. Bogom egipskim poświęcano lwice, które, z powodu trudności w ich zdobywaniu, zastąpiono następnie dzikiemi kotami nubijskiemi, które z czasem stały się, dzięki kapłanom, naszemi kotami domowemi.

Jednakże najwięcej zwolenników, jak twierdzi Autor, ma pogląd trzeci — że udomowienie najstarszych i najważniejszych naszych zwierząt domowych miało miejsce jako coś przypadkowego, przy wpływie na sam proces udomowienia pobudek natury socjalnej, tkwiących zarówno w rasach ludzkich, jak i w gatunkach udomowianych zwierząt.

Reasumując — Prof. dr. K. Wodzicki twierdzi, że c e l o w e

ściółki jest paproć, co tłomaczy on tem, że paproć odstręcza owady, niepokojące borsuka. Ściółkę wpycha borsuk tylnemi łapami, wchodząc do jamy tyłem.

Borsuk jest zwierzęciem wszystkożernem. Za pokarm służy mu niemal wszystko, od trawy począwszy, a kończąc na mięsie. Ta właśnie szeroka rozpiętość sprawia, że borsuk może być uważany i za szkodnika i za pożyteczne stworzenie w lesie. Wypija on chętnie jaja w gniazdach ptasich, pożera młodego zajączka, udusi kaczkę czy bażancicę siedzącą na jajach, uszkodzi sadzonki w szkółkach drzewnych, ale równocześnie jest zajadłym niszczycielem myszy, susłów, łasic, owadów, pędraków, liszek. Bilans szkody i pożytku borsuka wypada jednak niewątpliwie na jego korzyść.

Co się tyczy polowania na borsuki, to strzelanie z zasiadki przy jamach nie jest w dobrym stylu myśliwskim. Nawet dobrze strzelony borsuk wpełza do jamy i jest stracony. Zawodnem jest również wykopywanie borsuków ze starych, rozgałęzionych jam: borsuk przenosi się z jednego chodnika w drugi, powodując ogromną stratę czasu i wysiłku, zaś psy tam wpuszczone podają najczęściej ofiarą borsuka, który zapędza je w ślepe chodniki i tam zagryza wskutek uniemożliwienia ruchu i obrony. Najlepsze wyniki daje wykopywanie borsuków ze świeżo założonych jam, posiadających parę tylko otworów wejściowych, bez chodów głębokich.

DER DEUTSCHE JAEGER.

Nr. 30/1938, str. 481. *Do polowań na dzikie gęsi.* — Wśród rozmaitych rodzajów polowania na gęsi dzikie najczęściej stosowane i najowocniejsze jest polowanie z zasiadki. Podchodzenie do pasących się gęsi jest zgóry skazane na niepowodzenie, jeżeli niema po temu wyjątkowych warunków terenowych. Gęś jest mieszkańcem stepów i tundr i, jako ptak nadzwyczaj ostrożny, wybiera na żerowisko tereny otwarte i równe, pozbawione jakichkolwiek drzew lub krzewów, czy też większych dołów lub wzniesień. Ale i przygotowanie zasiadki nie jest takie proste. Nie można np. na wypatrzonem żerowisku wznieść budki czy szałasu, gdyż ani nazajutrz ani w ciągu następnego tygodnia żadna gęś nie opuści się na nie, zaniepokojona zmianą zaszłą na znajomym terenie. Najodpowiedniejsze jest wykopanie dołu, w którym myśliwy mógł by się ukryć z głową. Ale ziemię z dołu należy usunąć z terenu, a nie tworzyć wału, gdyż i tę zmianę powierzchni nadlatujące gęsi zauważą. Najlepiej, oczywiście, przygotować takie jamy zawczasu, jeszcze przed przylotem gęsi, a więc zaraz po sprzęcie zbóż, przez co uniknie się zniszczenia zasiewów. Ale jest to możliwe tylko tam, gdzie żerowiska gęsi mają charakter ustalony. Aby ułatwić trafienie do jam w ciemności, dobrze jest drogę do nich oznaczyć palikami. Zasiadać bowiem do jam należy w nocy, gdyż główny przylot gęsi na żerowiska odbywa się na długo przed wschodem słońca. Ale przeloty powtarzają się kilkakrotnie i w ciągu dnia, gdyż gęsi przenoszą się z żerowiska na wodę i z powrotem. Strzelbę do tego rodzaju polowań należy brać dalekosiężną i bijącą gęsto, gdyż strzały są dawane zazwyczaj na duże odległości. Najodpowiedniejszy jest śrut Nr. 3, t. zw. zajęczy, bo gęś jest zwierzyną twardą. Jeżeli wybór miejsca jamy nie może być przez obserwację ściśle ustalony, dobrze jest zwabić gęsi w jej pobliże. Do celu tego służyć mogą bądź oswojone dzikie gęsi, np. wyprowadzone z podebranych jaj, bądź też odpowiednio ustawione manekiny z gęsi ubitych lub wypchanych. Pamiętać jednak należy o tem, aby były one zwrócone dziobem w stronę wiatru, a nie odwrotnie, gdyż niezachowanie tej ostrożności wzbudzi odrazu podejrzenie przezornych ptaków. Do siedzenia w jamie należy ubrać się bardzo ciepło i mieć obuwie nieprzemakalne, gdyż w głębokiej jamie występuje często bądź woda podskórna, bądź też spływa woda deszczowa, a pozatem siedzieć w jamie trzeba nieraz po 3 — 5 godzin.

J. G.

ROZMAITOŚCI

PROJEKT REZERWATU NIEDŹWIEDZI NA POLESIU.

Pod tym tytułem podaje „Przyroda i Technika" w zesz. 7 wiadomość, iż w łączności z ubiciem w lasach Krzywoszyńskich niedźwiedzia, powstał projekt założenia rezerwatu w państwowych leśnictwach „Łosie" i „Tuchowicze" o powierzchni około 3000 ha. Tereny te — czytamy — stanowią jedyny obszar na niżu, w którym niedźwiedzie chętnie przebywają *) i mnożą się. Tereny te stanowią pozatem zagęszczony ośrodek łosi (150 szt.), posiadają żywotną kolonję bobrów (5 żeremi w pobliżu anału Ogińskiego), stwierdzono też obecność rysi.

Myśl stworzenia rezerwatu w wymienionych leśnictwach, stanowiących znikomą wartość gospodarczą dla Skarbu Państwa, jako tereny błotne, podjęta została przez Państwową Radę Ochrony Przyrody i jej Oddział w Wilnie, który poczynił odpowiednie kroki.

Pomysł najzupełniej poroniony. Idea tworzenia rezerwatów dla przedstawicieli zwierzyny łownej najłatwiej ima się tych, którzy o warunkach bytowania naszej zwierzyny mają bardzo odległe pojęcie, a którym tembardziej imponuje każde nowe rzucone hasło im mniej go rozumieją. Tworzenie rezerwatów zwierzyny u nas polega na stałem zakazie polowania na danym obszarze, oczywiście przedewszystkiem na gatunek, o który chodzi, przyczem autorom takich pomysłów wydaje się, że w ten sposób sprawa jest już całkowicie wyczerpana. Kwestja rzeczywistej opieki nad zwierzyną żyjącą na obszarze „rezerwatu", ochrony jej przed kłusownikami, zabezpieczenia jej dostatecznego pożywienia w każdej porze roku i t. p., co wszystko razem wymaga znacznych kosztów, jest przytem całkowicie pozostawiona zazwyczaj bez uwzględnienia. Wystarcza magiczne słowo „rezerwat". Jeśli chodzi o rezerwat dla niedźwiedzi, jak w danym wypadku, to autorzy tego pomysłu zapominają, że rezerwatem dla niedźwiedzi w ich rozumieniu jest cała Polska, gdyż istnieje całkowity zakaz strzelania niedźwiedzi w Polsce, poza wypadkami odstrzału na zasadzie specjalnych zezwoleń. Nie wiedzą również autorzy tego pomysłu, że gdyby nawet istotnie idea tworzenia tego rodzaju rezerwatów w naszych stosunkach miała coś za sobą, to dla niedźwiedzi rezerwat o powierzchni 3000 ha jest śmiesznie mały i poza skrępowaniem Dyrekcji Lasów Państwowych w rozporządzaniu terenem powierzonym jej administracji, żadnych innych wyników nie przyniesie. Poco więc rzucać nieprzemyślane hasła?

W. W. G.

ŁOŚ OFIARĄ WILKÓW.

W dobrach Goszczewo w woj. poleskiem zarejestrowano w roku bieżącym (zimą, zapomocą osoki) obecność 13 sztuk łosi. Sekcja Ochrony Łosia przy P. Z. Ł., rozpatrując wnioski o odstrzał byków na rok 1938, postanowiła na jesień przyznać odstrzał 1 sztuki z zastrzeżeniem, że następny najbliższy odstrzał dokonany być może dopiero w r. 1940.

Z pewnych względów odstrzału tego podczas bukowiska we wrześniu ostatecznie nie dokonano, natomiast myśliwego w danym wypadku zastąpiły... wilki.

Jak nam komunikuje pełnomocnik dóbr Goszczewo Pan P. Czechowicz, w nocy z 1-go na 2-go października r. b. sześć sztuk wilków napadło na trzyletniego rogala, rozszarpując go doszczętnie.

Tragedja ta rozegrała się w pobliżu bukowiska na łące o powierzchni 0,30 ha. Cała ta łąka jest kompletnie zryta, co świadczy o długotrwałym oporze łosia, który bronił się dzielnie przed znaczną przewagą sił napastników, działających jednak uparcie i zajadle, co doprowadziło wkońcu do ich zwycięstwa.

Prócz jednego rogu, żadnych innych szczątków na miejscu walki nie znaleziono. Sądząc z tego rogu, byka należy zaliczyć do słabszych.

WUZET

SZCZURY PIŻMOWE.

Pisząc już niejednokrotnie w „Łowcu Polskim" o tym wybitnym szkodniku w odniesieniu do tam wodnych, grobli stawowych, uregulowanych brzegów rzek, które niszczy i rujnuje, warto przytoczyć i najnowsze wiadomości o tem, jak zatrważająco szybko rozmnaża się ten gryzoń.

Przybyły do nas z Czechosłowacji przez Śląsk Cieszyński w r. 1929, szczur piżmowy opanował stopniowo całe województwo śląskie, południowo-zachodnie powiaty woj. krakowskiego (dorzecze Wisły, Soły, Skwy, Raby i Rudawy), wreszcie cztery powiaty woj. kieleckiego: zawierciański, będziński, częstochowski i olkuski (dorzecze Liswarty, Warty, Przemszy, Krynicy i Prądnika).

Ostatnio zagrożone jest już i woj. poznańskie: w Strzeszynku pod Poznaniem w kwietniu r. b. ubił pewien rybak na jeziorze Psarskiem duży okaz szczura piżmowego, co do którego, jak

*) A lasy Ogarkowskie, Ordynacji Dawidgródeckiej? (Przypisek autora).

podaje Prof. Schechtel, wykluczona jest pomyłka (Przyroda i Technika, nr. 7).

Jak szybko postępuje rozmnoża tego szkodnika, niech świadczą cyfry o ilości wyniszczonych szczurów w gospodarstwie rybnem w Dębowcu na Śląsku Zaolzańskim: w r. 1931 ubito 14 szczurów, w r. 1932 — 346, w r. 1933 — 879, w r. 1934 — 1303, w r. 1935 — 1058.

Izby rolnicze w Katowicach, Krakowie i Kielcach zamieściły do preliminarzy budżetowych na 1938/39 r. pewne kwoty na utrzymanie specjalnych łowców szczurów piżmowych. Zamiar w zasadzie godny jest pochwały, chodzi jednak o to, aby „specjalni łowcy", o ile mieliby używać broni palnej, byli dobierani z pośród ludzi pewnych, którzyby nie kłusowali przy tej okazji za zwierzyną. WUZET

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

DZIAŁ URZĘDOWY.

(Przedruk dozwolony tylko z powołaniem się na źródło).

OKÓLNIK P. WOJEWODY POMORSKIEGO

W ciągu dwóch lat, ubiegłego i bieżącego, przytoczyliśmy już w „Łowcu Polskim" treść wydanych przez p. p. Wojewodów: wołyńskiego, poleskiego, łódzkiego, kieleckiego, białostockiego i lubelskiego—okólników w sprawie współdziałania władz administracyjnych z organami Polskiego Związku Łowieckiego; podkreśliliśmy przytem ważność i celowość tych zarządzeń.

W ostatnich dniach otrzymaliśmy do wiadomości odpis okólnika p. Wojewody pomorskiego z dnia 16 lipca r. b. Nr. Org. L. 5/2, który poniżej przytaczamy w całości.

Do Panów Starostów Powiatowych i Grodzkich
oraz Prezydentów Miast.

W celu podniesienia stanu zwierzyny łownej i jej racjonalnej hodowli, jak wogóle rozwoju łowiectwa — powstał w Polsce Polski Związek Łowiecki, działający na terenie Pomorza przez swój Oddział pod nazwą „Pomorska Wojewódzka Rada Łowiecka" z siedzibą w Toruniu, a na terenie powiatów — przez Powiatowe Rady Łowieckie.

Jest to organizacja społeczna, ideowa, starająca się wpływać dodatnio na odpowiednie ustosunkowanie się społeczeństwa do łowiectwa, jakoteż mająca współdziałać z władzami administracyjnemi w zakresie wszystkich spraw, związanych z łowiectwem.

Biorąc pod uwagę, że współpraca Związku (Pom. Woj. Rady Łowieckiej i Rad Powiatowych) może być bardzo cenną dla władz administracyjnych i może dać dodatnie wyniki, proszę Panów Starostów (Prezydentów Miast) o odnoszenie się do poczynań Polskiego Związku Łowieckiego i jego organów, a więc Powiatowych Rad Łowieckich, Łowczych i Podłowczych, z należytą życzliwością oraz o zasięganie ich opinji przy ustalaniu własnej linji w polityce administracyjnej odnośnie spraw, związanych z łowiectwem.

Nazwiska i adresy P. P. Łowczych i Podłowczych oraz ich legitymacje otrzymają Panowie Starostowie od Pomorskiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej.

Uważam za celowe, aby także w poszczególnych sprawach łowieckich władze administaracyjne zasięgały opinji Łowczych Powiatowych. Dotyczy to również postępowania karno-administracyjnego, gdzie udział Łowczych jako biegłych może się okazać pożądanym we wszystkich sprawach o wykroczenia łowieckie.

Wielką klęskę w łowiectwie jest szerzenie się kłusownictwa i wnykarstwa, kładę więc silny nacisk na bezwzględne tępienie tych wykroczeń. Bezpośredni wpływ Panów Starostów na właściwą politykę karną w tym względzie zapewniono przez wyłączenie z pod uprawnień do karania, udzielonych burmistrzom i wójtom.

Byłoby też rzeczą pożądaną, aby Panowie Starostowie w ramach ustawowego nadzoru wpłynęli na wydzierżawienie terenów łowieckich osobom, dającym rękojmię, że nie będą prowadziły rabunkowej gospodarki łowieckiej.

Jednocześnie zechcą Panowie Starostowie przypomnieć funkcjonarjuszom P. P. obowiązki, jakie nakłada na nich ustawa łowiecka, oraz zalecić im bezwzględne współdziałanie z Łowczymi i Podłowczymi oraz Powiatowemi Radami Łowieckimi.

(—) WŁ. RACZKIEWICZ
Wojewoda.

TREŚĆ NUMERU:

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7,50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28; miesięcznie zł. 2,50. **Dla członków Polskiego Związku Łowieckiego:** za kwartał **zł. 6;** za pół roku **zł. 12;** za rok **zł. 24;** miesięcznie **zł. 2.** Numer pojedyńczy 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca 25 gr. Pocztowe Konto Rozrachunkowe Nr. 206, Warszawa 1.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 3-ą i 4-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Łowiecki.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Łowieckiego tel. 6-66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 6-66-29. KONTO P. K. O. 8082.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa